ZWYCIĘŻYMY!

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 20 (59) NIEDZIELA 23 MAJA 1943 R. CENA 20 FLS

W CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

KOPERNIK

Stary dom kapituły warmińskiej w Fromborku.

W dużej izbie narożnej umiera Mikołaj Kopernik. Leżąc na wysokiej pościeli oddycha z trudem. Przymglonym wzrokiem ledwo dostrzega znajome od trzydziestu lat zarysy stołu, ław, fotela, klęcznika, abakusa i pulpitu, przy którym zwykł pisać i obliczać.

Siedemdziesięcioletni kanonik poruszył wargami. Siedząca przy łożu siostra podaje kubek z cienkim miodem. Kopernik pije powoli — łykanie sprawia mu trudność. Opadł na wezgłowie i słucha śpiewu ptasząt. Okno do sadu otwarte. Słońce zalewa światłem wnękę okienną grubego muru. Z sadu pachną czeremcha i kasztany.

Starzec jedna się z Bogiem, przebiegając jeszcze raz, jak gdyby w półśnie, dzieje własnego życia. Służył bez przerwy Bogu i ludziom, sztuce i wiedzy. Podróżował po wielu krajach, uczył się w niejednej wszechnicy, sam uczył innych, poznał sztukę malowania, pisał wiersze i traktaty ekonomiczne, leczył ubogich... Ach, prawda, studiował jeszcze ruchy słońca, księżyca, planet i gwiazd.

Już trzynaście lat upływa, jak napisał wielkie dzieło o swych badaniach astronomicznych. Korekta i druk trwały kilka lat, aż dopiero niedawno drukarz przysłał pierwsze kompletne egzemplarze, oprawne w cielęcą skórę. Autor leżał już wtedy, słaby ostatnią niemocą.

„Pani siostro, przeczytaj pierwszą paginę mojej książki, co mi ją przysłał imćpan Guggelmus z Norymbergi."

Staruszka sięgnęła po foliant i poczęła czytać powoli przez okulary:

„De revolutionibus orbium caelestium...

Nicolaus Coppernicus, Legum Doctor...

Imprimatur...

Praefatio..."

„Pani siostro, a pod prefacją kto podpisany?"

„Nikt."

Nikt. Żywiej zabiło serce. Cenzor-teolog Osiander dodał do dzieła anonimową przedmowę, w której praca Kopernika była przedstawiona jako ciekawa hipoteza — jedna z wielu.

Machnął ręką. Zniekształcona dzisiaj, prawda musi przecież kiedyś wypłynąć...

Zamknął oczy. Widzi patrycjuszowski dom rodzicielski w Toruniu i wielką, szarą wstęgę Wisły... Słyszy przytłumiony głos mistrza Wojciecha w auli Akademii Jagiellońskiej... Widzi lazur nieba włoskiego i piękno życia: piękno natury, wiedzy, sztuki, piękno człowieka i piękno Boga...

„Pani siostro, pić..."

* * *

Dwadzieścia lat po zdobyciu Konstantynopola przez Turków, w rodzinie bogatego kupca toruńskiego, Kopernika, urodził się syn Mikołaj, który miał przynieść sławę rodzinnemu miastu, ojczyźnie i rodzajowi ludzkiemu.

Odrodzona kultura europejska zaczerpnąwszy skarbów starożytności przechowywanych przez Arabów hiszpańskich i Bizancjum — zrodziła przedziwną atmosferę i klimat duchowy, w którym wschodziły i kwitły geniusze. Leonardo, Michał Anioł, Petrarka, Tasso, Kepler, Galileo, Rabelais... Ktoś, niegdyś — stworzył termin „Olimpijczyk". Od Peryklesa do Goethego stoją cienie olimpijskie, rzadkim szpalerem wytyczając czas i przestrzeń. Olimpijczykiem jest Leonardo da Vinci — malarz, rzeźbiarz, poeta, inżynier, filozof. Jest Olimpijczykiem i współczesny Leonardowi Mikołaj Kopernik.

Pomnik Kopernika w Toruniu

Urodzony w 1473 roku, uczy się w Krakowie, gdzie słucha wykładów wielkiego polskiego matematyka, Wojciecha z Brudzewa. Gdy ma lat 24, udaje się do Włoch na dziewięć lat. Studiuje w Bolonii i Padwie prawo, medycynę i astronomię. Uzyskuje doktorat prawa kanonicznego. Już w pierwszym roku pobytu we Włoszech prowadzi badania astronomiczne pod kierunkiem Novary.

Po powrocie do kraju przyjmuje święcenia kapłańskie i zostaje kanonikiem kapituły warmińskiej. Waczenrode, jego matczyny wuj, zajmuje wtedy stolicę biskupią. Od 1512 roku Kopernik zamieszkuje w Fromborku (woj. malborskie), zajmując się astronomią i medycyną. Jest dobrym i humanitarnym lekarzem.

Mało znanym szczegółem działalności Kopernika jest jego traktat ekonomiczny „De cudenda moneta" (O biciu monety). W traktacie tym ogłosił Kopernik odkryte przez siebie prawo głoszące, że z systemu gospodarczego, w którym równoprawnymi środkami obiegowymi są monety szlachetniejsze i podlejsze (tj. o większej i mniejszej zawartości cennego kruszcu) — uciekają monety lepsze, a pozostają tylko gorsze. Prawo to „odkrył" ponownie znacznie później uczony angielski Gresham.

Kopernik — ten prawnik, lekarz, pedagog, inżynier, malarz, ekonomista, duchowny—jest nam znany przede wszystkim jako astronom — matematyk. Pracą swego życia dokonał radykalnej, rewolucyjnej zmiany poglądu człowieka na jego ziemską siedzibę, nauce zaś dał tron i władzę królewską.

Czy Kopernik był pierwszym człowiekiem, który powiedział, że ziemia obraca się dokoła słońca? Czy był pierwszym, który stworzył pojęcie układu słonecznego?

Już kilkanaście wieków przed Kopernikiem atronom grecki, Arystarch z Samos, wygłosił hipotezę obrotu kuli ziemskiej dokoła słońca. Zwolennikami tej niedostatecznie wówczas ufundowanej hipotezy byli również inni uczeni greccy, znani Kopernikowi. Jednak w związku z filozofią Arystotelesa, obowiązującą przez cały okres starożytności i średniowiecza, i wobec braku ścisłych obserwacji i pomiarów — w dziedzinie astronomii panowała niepodzielnie teoria ptolomeuszowska, wedle której Ziemia, siedziba człowieka, jest środkiem Wszechświata, a dokoła niej krążą po kołach i epicyklach różnych rzędów wszystkie ciała niebieskie. W miarę postępu obserwacji teoria ptolomeuszowska komplikowała się coraz bardziej.

Kopernik wygłosił swe credo astronomiczne w chwili, gdy nową teorię można było oprzeć na ważkich danych obserwacji i matematyki, i gdy miarodajna opinia uczonych i ludzi interesujących się nauką dojrzała do przyjęcia tej teorii. Jest przy tym rzeczą szczególną i specjalnym zrządzeniem losu, że teoria ta weszła do skarbca wiedzy ówczesnej prawie bez sprzeciwów. Nie przyniosła też na razie wielkiej sławy. Być może nawet, Kopernik nie przewidywał, że tak prosty, tak pozornie niedoskonały systemat naukowy, daleki od zasadniczych zagadnień życia, stanie się w następnym stuleciu poiem najzaciętszej walki o istotę poglądu na świat.

Bez Kopernika nie byłoby Keplera, Galileusza, Newtona, Einsteina. Kopernik i współczesny mu astronom praski, Duńczyk Tycho de Brahe — ostatni wielki Ptolomejczyk — byli również ostatnimi wielkimi astronomami, którzy nie znali lunety ani teleskopu. Tym większa zasługa Kopernika, że opierając się tylko na obserwacjach dokonanych nieuzbrojonym okiem, znalazł istotne elementy matematyczne budowy świata, przyjęte przez wiedzę nowoczesną. Idealne koła Kopernika zastąpił Kepler elipsami, ustalając jednocześnie swoje trzy prawa, z których Newton wyprowadził podstawy klasycznej mechaniki, uzupełnione w naszych czasach przez Einsteina.

Jako prawdziwy syn epoki Odrodzenia, Kopernik musiał dążyć do harmonii i prostoty. Znał lub przeczuwał słowa jednego z wielkich filozofów greckich: „Bóg zawsze postępuje według zasad geometrii". Odbicia tej prostej, Boskiej geometrii szukał Kopernik na niebie — i znalazł ją.

* * *

Niemcy od najdawniejszych czasów starają się wmówić światu niemieckość Kopernika, zaś hitlerowcy czynią to z furią iście teutońską. Istnieją jednak dostateczne dowody, że Kopernik był Polakiem, że nienawidził z całego serca Krzyżaków, że jest autorem pięknej modlitwy w języku polskim oraz listów do króla polskiego Zygmunta Starego. A oto co myśli Anglik, Hilaire Belloc, jeden z najlepszych stylistów i essayistów współczesnych:

„Dziś... ludzie z gniewem rozważają sprawę polskości, czy niemieckości Kopernika. Prawdopodobnie miał on w sobie nieco niemieckiej krwi, lecz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że był Polakiem."

Dwa lata temu — na północnym Uralu — dyskutowaliśmy z przyjacielem o tym, kto większy dla Polski: Kopernik, czy Słowacki.

Jako przyrodnik, byłem adwokatem Kopernika. Cóż byłoby, gdybyśmy zawdzięczali wszystkie zdobycze naukowe i techniczne cudzoziemcom? Obawiam się, że nie mielibyśmy wtedy i Słowackich.

Kopernik jest jak gdyby pierwszą wizą uniwersalną na naszym paszporcie zagranicznym.

Paszport ten mamy już równe czterysta lat.

Wizy odnawiamy może zbyt rzadko.

Feliks Lachman

WOLNOŚĆ I SIŁA

Co rok myślimy o Polsce w dniu 3 maja. Ale co rok inaczej, bo życie idąc wciąż naprzód stwarza nowe fakty — a te fakty wywołują nowe spojrzenie na Polskę, na jej przeszłość i przyszłość.

Gdy myślałem nad tym, jaki jest styl naszego obecnego roku, roku który upamiętnił się ujawnieniem tragicznej zbrodni dokonanej na oficerach polskich w Smoleńsku, gdy starałem się wysnuć z tych faktów ostatnich ich znaczenie dla Polski, przyszły mi na myśl słowa usłyszane we wrześniu 1939 r.

Było to w jakiejś nieznanej wsi w lubelskim w czasie postoju transportu ewakuacyjnego. Ludność wsi wyległa w grupkach na drogę: podawano sobie ostatnie wiadomości z frontu i dyskutowano nad nimi. W pewnej chwili prosta kobieta wiejska, słuchająca z boku, wmięszała się do rozmowy mówiąc: „Niemcy idą tak naprzód, bo nasze chłopaki nie dosyć się biją, za mało uczyli się historii polskiej, nie wiedzą, co teraz nas wszystkich czeka".

Wiemy, że chłopaki biły się dobrze — jak tylko mogli najlepiej. Nie o to tu chodzi. Chodzi o uwagę o historii polskiej. W chwili gdy toczyły się najzaciętsze walki i pole bitwy pokrywało sobą całą Polskę — ta prosta kobieta myślała o historii polskiej.

W tym powiedzeniu są dwie ważne bardzo myśli. Przeżycia nasze to są przeżycia o wielkim znaczeniu historycznym, w historii jest klucz do ich zrozumienia i miara właściwej oceny. A druga myśl równie istotna — że znajomość historii jest czynnikiem powiększającym siły walki.

Święto 3 maja jest właśnie świętem historii polskiej i dlatego o niej trzeba dziś myśleć i mówić; w niej trzeba odnajdywać to, co ma stanowić o naszej sile w toczącej się walce.

W konstytucji 3 maja dla nas ważne nie są takie czy inne sformułowania słowne, nie są ważne paragrafy czy artykuły — ale ważne są przeżycia historyczne, przeżycia wewnętrznej przebudowy narodu polskiego, których symbolem w historycznym ujęciu stała się ustawa majowa.

Pod pojęciem konstytucji majowej nie rozumiemy jakiejś sytuacji prawnopolitycznej stałej, nie rozumiemy jakichś sztywnie ujętych doktryn czy haseł politycznych, ale rozumiemy jedną z faz, przez które przeszła ewolucja ustrojowa państwa polskiego. To jest państwo w ruchu, a nie w stanie statycznym; to jest jedno z ogniw, które ma swoje powiązanie z całą historyczną ewolucją państwa polskiego.

Nie byłoby konstytucji majowej gdyby nie było Unii Lubelskiej i epoki Jana Zamoyskiego. Nie byłoby Unii Lubelskiej, gdyby nie genialna realizacja idei państwa jagiellońskiego, gdyby nie konstytucje jagiellońskie, które stworzyły sejm, tę historyczną instytucję państwowego życia Polski.

A wreszcie i te akty konstytucyjne miały podstawę w statutach kazimierzowskich.

Tak więc istnieje ciągłość ewolucyjna w rozbudowie tej piramidy społecznej, na której opiera się organizacja państwa. Piramida z postępem lat otrzymuje coraz szerszą podstawę. W okresie 3 maja określona została tym okrzykiem, który rozbrzmiewał na ulicach Warszawy, a który najlepiej oddaje sens i atmosferę moralną reformy majowej, wiążącej naród w jedną całość ustrojową: Wiwat król, wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!

Określamy często konstytucję majową jako początek nowoczesnej demokracji polskiej — i słusznie, ale pamiętajmy o tym, że ta demokracja polska czerpała swoje soki żywotne z instytucji wolnościowych historycznej Polski, że była jej naturalnym wynikiem.

Polska „demokracja", pododobnie jak i angielska, nie jest związana z sztywnymi doktrynami politycznymi, tak jak np. demokracja francuska, która daleko mniej jest instytucją historycznej ewolucji, aniżeli instytucją formułkowych doktryn filozofów, prawników, czy ideologów politycznych. We Francji pojęcie „demokracji" określa pewną stałą formę ustrojową, daleko mniej elastyczną aniżeli w Anglii, gdzie istnieje pojęcie „demokracji konstytucyjnej"—a więc demokracji, której treścią jest historyczna ewolucja ustrojowa Anglii.

Podobnie jest z Polską. Nasza ewolucja demokratyczna jest mniej związana ze sztywnymi doktrynami demokracji francuskiej, aniżeli z ewolucją naszych własnych historycznych instytucji wolnościowych. I dlatego każde pojęcie nowoczesnej demokracji, jeśli ma wpłynąć poważnie i istotnie na zorganizowanie sił żywotnych narodu polskiego, musi się wiązać ze wszystkim, co stanowi treść historyczną Polski.

* * *

U podstawy każdej organizacji państwowej leżą dwa istotne zagadnienia: zagadnienie wolności i siły. Te dwa bieguny wcale z natury swej nie są zbieżne. Wręcz przeciwnie — są sobie często przeciwstawne. Wiemy, że gdy jest dużo wolności, nie ma często w państwie siły; odwrotnie silna organizacja państwowa pozbawia często swych obywateli wolności.

W Polsce epoki Wazów i Sasów wielka rzesza szlachecka od magnatów do szlacheckich chłopów zagrodowych miała prawa polityczne, których sensem było zagwarantowanie maksymalnej indywidualnej swobody. Takich praw wolnościowych nie było w innych państwach Europy, zorganizowanych przeważnie na zasadach twardych monarchii absolutnych. Polacy byli dumni ze swej wolności; mówili, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, strzegli tej wolności jak źrenicy oka. To była tzw. demokracja szlachecka. Wielka wolność indywidualna była okupiona słabością państwa polskiego.

Już w czasach Jana Zamoyskiego cudzoziemcy przepowiadali złe następstwa tego nadmiaru wolności osobistej, a braku troski o siłę państwa. Mówili: Polacy są dumni z swych wielkich swobód politycznych, twierdzą, że ich wolność jest większa i lepsza od jakiejkolwiek innej wolności w Europie: cóż z tego, kiedy doprowadza do anarchii, a państwo ich jest tak słabe, że groźni sąsiedzi, Rosja i Prusy, państwo to z łatwością zniszczą. Z utratą państwa skończy się ich wolność osobista.

Cały czas od Jana Sobieskiego do Stanisława Augusta — to dzieje słabości państwa polskiego. Polska chce pokoju za wszelką cenę; nie chce żadnych wojen. Prosi wszystkich o gwarancje nienaruszalności jej granic. Trzyma się z dala od wielkiej, czynnej polityki europejskiej, pozwala obcym armiom przechodzić przez swoje ziemie, byle utrzymać neutralność — utrzymać wygodne życie pełne wolności.

Konstytucja majowa jest zawróceniem z tej drogi upadku znaczenia państwa; chce kosztem uszczuplenia elementu wolności indywidualnej wzmocnić element siły państwa, zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz w układzie międzynarodowym.

Konstytucja majowa była pomyślana jako nowe sharmonizowanie postulatów wolności i siły. Wiemy, że właśnie harmonia wolności i siły to główny jej urok. Nasza konstytucja majowa przeszła do historii świata jako wzór politycznego rozumu i umiaru — z punktu widzenia idealnych zasad ustroju państwa — ustroju, w którym troska o siłę państwa nie przekreślała znaczenia człowieka.

Poza Polakami szanowali konstytucję majową najwięcej Amerykanie i Anglicy. Natomiast Rosja, Prusy a także Austria józefińska czy metternichowska — miały do konstytucji majowej stosunek, którego inaczej nie można nazwać, jak stosunkiem nienawiści.

Z wszystkich krajów europejskich wielkość konstytucji majowej odczuła i zrozumiała najlepiej Anglia. To co np. powiedział o niej w parlamencie angielskim Edmund Burke, przywódca liberałów, można zestawić z tym, co napisał na ten sam temat Adam Mickiewicz. Anglicy byli pełni zachwytów dla polskich reform ustrojowych; przepowiadali Polsce wielką przyszłość.

Pewien wybitny profesor angielski powiedział, że wolnościowa konstytucja Anglii jest darem morza, albowiem ono stało na straży jej bezpieczeństwa. Polskę otaczało morze nienawiści jej wielkich sąsiadów. I dlatego to, co w Anglii mogło się piękie rozwijać, w warunkach polskich zostało zniszczone.

Przyszły rozbiory, które tak prędko przekreśliły przyszłość Polski — a Anglia, ten wolny naród na wyspie, który miał tyle uznania i zrozumienia dla wolnościowego ustroju Polski, nic nam nie pomógł ażeby do rozbiorów nie dopuścić.

Społeczeństwo angielskie, wbrew opinii swojego premiera, przepowiadającego złe skutki rozbiorów dla Europy, opowiedziało się zdecydowanie za utrzymaniem dobrych stosunków i z Rosją i z Prusami. Były to kraje, których ustrój był antytezą naszej konstytucji majowej i także instytucji wolnościowych Anglii. Jest to jeden z bardzo licznych przykładów na to, że zbieżność ideologii wewnętrzno-politycznej nie była i nie jest czynnikiem decydującym w polityce międzynarodowej.

Dlaczego konstytucja majowa — skoro była tak idealna — nie uratowała Polski przed rozbiorem? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie tkwi w tym, że pomimo wielkich obiektywnych zalet, reformy sejmu 4-letniego nie zdążyły wydobyć z narodu polskiego tej siły państwowej, jakiej Polska potrzebowała ze względu na potęgę swoich sąsiadów.

Na sejmie 4-letnim Tadeusz Kościuszko złożył memoriał, w którym oponował przeciwko utworzeniu dużej armii stałej. Motywował to tym, że instytucja armii stałej jest sprzeczna z zasadami demokracji. Państwa demokratyczne opierają swoje bezpieczeństwo na pospolitym ruszeniu. To było hasło rewolucji francuskiej, hasło, które przejęła Ameryka Waszyngtona, gdzie Kościuszko spędził 8 lat.

Nikt nie będzie kwestionował wielkości Kościuszki, ale każdy historyk powie, że Kościuszko na sejmie 4-letnim nie miał racji. Silna stała armia była konieczna, bo miała ją Rosja i miały ją Prusy. Silna armia w Polsce wcale nie oznaczałaby wyrzeczenia się demokratycznych zasad państwowych — oznaczałaby zrozumienie swoich własnych potrzeb związanych z geopolitycznym położeniem Polski. Jest to przykład jak zapatrzenie się we wzory obce — w innych warunkach bardzo słuszne — może oddziałać na osłabienie własnego polskiego instyktu państwowego.

Spoglądając dzisiaj poprzez reformy konstytucji majowej na historyczną ewolucję ustrojową Polski widzimy, że w dziejach sejmu 4-letniego mamy piękny wyraz kultury polskiej — jej głębokiego stosunku do człowieka, pełnego poszanowania jego praw naturalnych.

Pozostaje natomiast zagadnienie siły — zbiorowej siły naszej w państwie.

Reformy sejmu 4-letniego nie wydobyły — mimo wszystko — z Polski tej siły, jaka w tym okresie była bezwzględnie konieczna. Konieczność tej siły narzucał Polsce klimat polityczny stworzony przez Rosję i Prusy. W tym klimacie problemat Polski da się ująć jednym zdaniem: albo Polska wróci do swej potęgi jagiellońskiej, albo jej w ogóle nie będzie. Zadnej pośredniej drogi tu nie ma.

* * *

Czy Polska rzeczywiście tak potrzebuje siły?

Na to pytanie daje odpowiedź historia.

Nie ma takich międzynarodowych gwarancji politycznych, których by Polska nie miała w historii ostatnich 200 lat. Mieliśmy traktat gwarantujący całość Rzeczypospolitej z carem Piotrem Wielkim, mieliśmy przymierze polsko-pruskie sejmu 4-letniego, mieliśmy uroczyste obietnice cesarza Francuzów i odnowionej Francji porewolucyjnej, mieliśmy gwarancje Anglii dla Królestwa Kongresowego, dla wolności Krakowa, dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Odbudowane państwo polskie miało za sobą gwarancje największego kongresu międzynarodowego historii światowej, miało za sobą autorytet wielkiego prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego idealnego dziecka — Ligi Narodów. Z tego wszystkiego jest jedna prosta nauka: Jakikolwiek będzie przyszły międzynarodowy układ polityczny, niezbędny jest w nim czynnik polskiej siły, którą moglibyśmy się wyręczyć w odbudowie i utrzymaniu naszej Rzeczypospolitej. Stosunek nasz do polityki światowej musi być stosunkiem współpracy, stosunkiem własnej współrzędnej twórczości i własnego wysiłku.

OBLICZE Nocy

Najlepiej jest nie uczyć się historii, wyrzec się wspomnień lat ostatnich. Gdyby bowiem Wanda Wasilewska rozpoczynając redagowanie nowego pisma cofnęła się wstecz, musiałaby odprawić długie cywilne nabożeństwo (graždanskaja panichida) za dusze zmarłych redaktorów. Przed jej pismem wychodziła gazeta „Trybuna Radziecka". Jej wydawcy walczyli z faszyzmem może gorliwiej jeszcze niż Wanda, węszyli go wszędzie: w patriotyzmie, w pisowni, w sposobie wykładania literatury i historii. Oskarżano nieustannie, by nie usiąść samemu na ławie oskarżonych. Usiedli. Nie żyją.

Może Wanda wszystkiego nie pamięta. Była wówczas przy ojcu, szlachetnym i zasłużonym działaczu socjalistycznym i patriocie polskim, który współdziałał z „Robotnikiem", tkwił w PPSie. Korzystała z wysokiej protekcji, ochrony i osłony. Wtedy potępiał jej ojca, jako gorący obrońca czystego marksizmu Adolf Warski. Pracował również w tym samym mieście, w którym teraz pracuje Wanda. Gdzie się podział, co się z nim stało?

Co stało się z nawróconym PPSiakiem Zarskim, który tak pięknie wygrażał, gromił na posiedzeniu rad delegatów robotniczych, a później zwalczał faszyzm ostro i bezwzględnie. Był w tym mieście, gdzie znajduje się obecnie Wanda. Czy wie coś o jego losach?

Na jakiej gruszy znalazł śmierć Wandurski? Opuścił kraj w nadziei, że będzie mógł rozwijać należycie kulturę proletariacką. Był redaktorem pisma. Popadł w odchylenie nacjonalistyczne. Walczył bowiem o przywrócenie języka polskiego w gazetach polskich.

Dbał o „kulturę mas" Bruno Jasieński. Starał się jako człowiek zmienić skórę, palił nie tylko Paryż, ale całą przeszłość. Zwalczał faszyzm, pisał o współżyciu narodów. Lśnił kilka lat. Gdzie się podział? Co się z nim stało? Czy należy odprawić po nim cichą mszę cywilną?

Może się spotkał w zaświatach z Hemplem, który również redagował pismo, wydawał tygodniki, walczył z odchyleniami, węszył zdrady, potępiał faszyzm, by samemu usiąść na ławie oskarżonych jako faszysta, zdrajca, wróg ludu i wolności.

Może im to wszystko wytłumaczy specjalista od wyjaśnień wszystkich rezolucji tam i z powrotem, od złorzeczenia przeciwko samemu sobie — Amsterdamski. Kajał się, wyrzekał się wszystkich grzechów młodości, aż do Poalej-Sjonu włącznie. Zmazywał z siebie wszystkie grzechy pierworodne i nie udało się.

Spotkał się pewnie z Ringem, który niemniej od niego walczył, przeciwstawiał się wszystkim zakusom faszystowskim, węszył hitleryzm nawet w wiaterku liberalnym, a został posądzony o współdziałanie z Niemcami.

Zgrabniej od niego funkcjonował Leński-Leszczyński. W więzieniach śpiewano pieśni ku jego czci. Sam sprytnie uciekł z więzienia warszawskiego. Wymykał się rezolucjami z ewentualności nowego uwięzienia, unikał prawicy, nie kumał się z lewicą, był w centrum. Czyż można się lepiej zabezpieczyć? Czyż nie jest to najlepszy pancerz dla uratowania żywota? Krótki komunikat urzędowy wyjaśnił, że był szpiegiem, zdrajcą, że współdziałał z defensywą, a przecież redagował pismo codzienne w miarodajnym mieście. Gdzie się podział? Może Wanda dowie się w biurze adresowym?

Może się Wanda spyta Purmana? Przepraszam, nie żyje. Uciekł z jednego więzienia, ale nie udało mu się ominąć innego. Protestował, deklarował, oświadczał, wyrzekał się i zdawało mu się, że siedzi mocno, że nie upadnie nigdy. Dobiło go roztkliwianie się, tęsknota.

Może Wanda spyta się Standego? Mówią, że żyje. Nawet widziano go gdzieś w jakimś obozie. Rozmawiał podobno długo i gorąco z dziennikarzem i literatem — Michałem Kolcowym.

Umarli szybko jadą. Już dawno zapomniano o redaktorze pisma codziennego Wałeckim. Jak zjadliwie wykpiwał swoją dawną pracę w PPSie. Jak przewidująco pisał w Małej Encyklopedii. Dawał życiorysy różnych działaczy polskich, mężów stanu. Nie przewidział jedynie, co się z nim samym stanie, nie domyślił się, tak jak drugi jego kolega z Wielkiej Encyklopedii — Damski.

Spotykał się ostatnio z Dąbalem. Rozmawiali długo na temat wydawania pism codziennych. Omówili wszystkie szczegóły rozbudowania chłopskiej międzynarodówki. Co się stało z Dąbalem? Gdzie się podział? Jak znikł?

Ostatnią żywą kroniką zmarłych był publicysta Łapiński. Mówił coraz więcej szeptem. Przepraszał, że żyje. Wyrzucił z mieszkania wszystkie felietony Radka. I to nie pomogło.

Już zdawało się, że wymknie się śmierci Spława-Neyman. Nie rozmawiał z Haneckim, unikał kontaktów ze starymi esdekami, wystrzegał się Unszlichta. Nie kłaniał się Doleckiemu. A jednak odszedł wraz z nimi w świat nieznany. Istnieje w tym mieście aleja zwycięzców, entuzjastów. Na innych Polach Elizejskich snują się cienie tych byłych redaktorów, którzy stali na czele pism przed Wandą.

Wanda może się uspokoić. „Tatuś" powiedział, że syn nie odpowiada za ojca. Córka może też nie odpowiadać. Bywało różnie z tym nieodpowiadaniem. Likwidowano syna, by nie mógł w ogóle odpowiadać. Można byłoby wymienić wiele „szlachetnych szyj Rylejewa". Wystarczy ten krótki spis ludzi pogrzebanych ideowo w bratniej mogile. Jest to spis niekompletny sprawek dokonanych w nocy. Wyszli w najciemniejszą noc, gdy hulał wiatr. Może nie będzie już więcej egzekucji, może była to ostatnia noc. Należy się tak pocieszać, gdy nie ma innego wyjścia, gdy nie ma powrotu. Takie jest oblicze nocy. Takie myśli nasuwają się pewnie przy obejmowaniu redakcji nowego pisma. Na jak długo można życzyć powodzenia Wandzie? Kto stanie następny w kolejce?

N. C.

W okresie sejmu 4-letniego Polacy byli podzieleni na dwa obozy. Jedni opierali odrodzenie państwa na pomocy Rosji, drudzy — ze stronnictwa patriotycznego — na pomocy Prus i Anglii. Zawiodło jedno i drugie. Nie z pomocy wielkich sąsiadów wyrosła potęga Rzeczpospolitej jagiellońskiej — ale wyrosła na tym, co było siłą przeciwstawienia się Niemcom i Rosji.

Upadło państwo polskie — a było to państwo, gdzie zasada indywidualnej wolności przeciwstawiała się często sile państwa. Upadła konstytucja 3 maja — bo wszystkie wielkie reformy ustrojowe mogą się trwale rozbudować dopiero wtedy, kiedy państwo ma silne podstawy swojego międzynarodowego bytu.

Te same zagadnienia, które stały przed narodem polskim wtedy, stoją przed nami dzisiaj. Przeceniamy doniosłość zmian zachodzących w naszej epoce. Wyobrażamy sobie, że od naszych czasów dzieje ludzkości pójdą zupełnie nowymi drogami.

Wydarzenia oceniane w perspektywie dni czy nawet lat wydają się istotnymi zmianami — w perspektywie historii one są tylko nowymi formami bardzo głębokich, trwałych zjawisk. Nie można zbaczać z drogi narodowego rozwoju, która określona została położeniem geograficznym, czy położeniem między sąsiadami, takimi jak Niemcy i Rosja.

W polityce narodu nie można stawiać celów dowolnych, nie można wybierać dowolnych dróg. Zarówno cele narodu jak i droga do nich są podyktowane nakazem historycznym. Ten cel da się odczytać w zewnętrznym położeniu Polski i w wewnętrznym obliczu Polaka, takim jakim urobiła go historia. Te czynniki nie dadzą się zmieniać z dnia na dzień, nie dadzą się zamazać jakąś mgławicą międzynarodowego chaosu i niejasnych formuł rekonstrukcji nowego porządku.

Polityka, jeśli ma być związana z dziejową ewolucją narodu, to nie jest kwestia sprytu ale głębokiego rozumu i ducha. To jest kwestia ciągłości pracy pokoleń — to jest stosunek do przeszłości, w którym jest miejsce na reformy i rozbudowę, ale nie ma miejsca na wyrzeczenie się.

Jeżeli Polacy przetrwali wszystkie nieszczęścia ostatnich 150 lat — to dlatego, że mają wielką siłę ducha. Ta siła ducha nadaje piętno polskiej twórczości kulturalnej. Ale jeśli chcemy mieć znaczenie, jeśli chcemy istnieć, musimy być narodem państwowym tj. narodem o silnej konstrukcji państwowej i przejrzystej myśli politycznej.

Gdy mówi się o sile, łatwo powstaje zarzut popadania w sprzeczność z wolnościowymi zasadami demokracji. To jest bardzo płytki sąd, życiowo wygodny, unikający spojrzenia prawdzie w oczy. Demokracja, jeśli chce żyć, jeśli chce mieć przyszłość, musi mieć siłę tworzenia — nie może być cywilizacją w defensywie i nie może stawiać sobie tylko aspiracji spokojnego życia w dobrobycie pod opieką państwa, nie może być moralnością użycia. Taka demokracja nie miałaby żadnej przyszłości.

Dzisiejsza rola naszego narodu w obozie walczących jest jasna. Dajemy w wspólnej walce ideały Polski, jako jeden z najistotniejszych elementów odrodzenia powszechnej kultury politycznej.

Siłą męskiej decyzji podjęcia walki Polska dała dowód, że w niej są elementy siły twórczej. Każda wielka twórczość wypływa z walki i cierpienia. Polska umie walczyć i umie cierpienia i nieszczęścia obracać w siłę życia. Polska umie nie poddawać się. I dlatego przed narodem polskim jest wielka przyszłość.

O trwałości zwycięstwa będą decydować jak zawsze wartości duchowe. Narody, które mają poczucie, że wnoszą do walki jedynie wartości produkcji gospodarczej i ilości pieniędzy — jeśli nie doceniają toczącej się walki o wartości ducha i ideologię życia ludzkiego zakreślają granice swojej potęgi.

Gdy się mówi o Polsce i jej roli w tej wojnie, jedno zwraca uwagę. Coraz częściej Polska figuruje wśród tzw. narodów małych.

Czy Polska jest narodem małym czy narodem wielkim — to problem, który już został rozstrzygnięty w historii. Polska gdy staje się mała — w ogóle znika z mapy Europy. Jest tylko miejsce na Polskę wielką.

O wielkości narodu stanowią obszar, ludność, bogactwa gospodarcze — ale także świadoma myśl kierująca — nie narzucona ślepo przez despotycznego wodza — ale myśl kierująca, która tkwi w historii narodu.

Polska — to kraj, na którego obszarze rozgrywają się dwa najważniejsze problemy polityczne i kulturalne nie tylko Europy ale i świata — zagadnienie Niemiec i zagadnienie Rosji. Nie ma dzisiaj większych problemów politycznych. I jeśli zastanawiamy się, czy Polska jest małym narodem czy wielkim, to jedno jest zupełnie pewne, że na to ażeby zmierzyć się z tymi problemami o światowym zasięgu — trzeba mieć nie poczucie małości czy słabości, ale poczucie wielkości i siły Polski.

Trzeba mieć głębokie poczucie wewnętrznej treści polskiej dziejowej kultury i misji, ażeby się nie załamać i nie wyrzec — tak jak się nie wyrzekli Łokietek, Kościuszko, Traugutt czy Piłsudski w sytuacjach, które wydawały się beznadziejne.

Nie ma trwałego rozwiązania tych dwóch największych zagadnień świata bez współudziału narodu polskiego. I tego faktu nic nie może zmienić.

Nie można myśleć, że dwa olbrzymie wulkany, które zalewały Polskę, odtąd zamienią się w wystygłe kratery. Takiej sytuacji nigdy nie będzie i z tym musimy się liczyć. Albo w tej wojnie wywalczymy sobie rozstrzygnięcie polityczne dużej miary, albo sfederowane narody między Bałtykiem i Morzem Czarnym wywalczą sobie pełną niepodległość i stworzą klimat epoki jagiellońskiej — albo przekreślimy nasz byt, stracimy go, tak jak straciliśmy górne ideały wolnościowe konstytucyji 3 maja z braku zrozumienia potrzeby własnej siły państwowej.

Gdy ważą się takie decyzje, największym nakazem Polaka jest wydobycie z siebie poczucia siły. Gdy Polak mówi o sile, to nie jest to siła, o której mówi Niemiec czy Rosjanin — to jest zupełnie inna siła.

To jest siła, która wynika nie z narzucouego nakazu — ale siła własnego wewnętrznego nakazu. W tej sile jest człowiek z swoim charakterem, z swoim honorem i z pełnym duchowym spojrzeniem na świat.

Jan Szułdrzyński

THE HORSE HEAD

(KOŃSKA GŁOWA)

Gdyby mi ktoś powiedział, że przez tydzień nie będę się golił, że jutro będę jadł knrczęta po polsku z nadzieniem, że dla mnie trzy najpiękniejsze kobiety Iraku popełnią szaleństwo — możebym uwierzył. Ale najlepszego przyjaciela zwymyślałbym, gdyby usiłował we mnie wmówić przed tygodniem, że nie zobaczę Królewskiej Wystawy Koni w Bagdadzie.

„I rzeczywiście".

W dniach 3, 4 i 5 marca spadły na mnie niespodzianie następujące nieszczęścia: jednego dnia odprawa oficerska, drugiego dnia dyżur w baterii, trzeciego otworzyły się upusty niebieskie z taką siłą, że jedyny szlak naszych autostopów został w kilku miejscach przerwany.

Cztery dni chodziłem zły jak osa, ale wczoraj od rana jakoś mi odeszło, zwłaszcza, że dostałem rozkaz wyjazdu w daleką drogę. Zająłem się przygotowaniami i byłbym na pewno zapomniał o bagdadzkich koniach, gdyby nie panna Marysia z żołnierskiej gospody.

„Kiło kiełbasy, tylko dobrej" — powiadam. „Świeżutka" — mówi ochotniczka i pyta „co więcej?" — a ja udaję, że się namyślam, żeby móc dłużej popatrzyć na zabawnie zadarty nosek panny Marysi.

Zamiast reszty otrzymałem indyjskie zapałki, którym zaraz począłem się przyglądać z takim zainteresowaniem, jakbym podobnych w życiu nie widział i zaraz rozpocząłem głośno interesującą lekturę: „The horse head — vimco — made in India — safety matches".

Panna Marysia spojrzała z zachwytem na rysunek końskiej głowy, znajdnjący się między tymi napisami i z wdziękiem zagaiła rozmowę: „Śliczny konik — czy pan lubi konie, bo ja szalenie — prawda, że najlepsze są konie arabskie, czy pan dobrze jeździ konno, o na pewno doskonale, co pan woli: konia, czy samochód — na pewno tak jak ja: i konia i samochód, tylko koń musi być siwy, a samochód sportowy, bez żadnej budy — prawda?".

Usiadłem i już myślałem, że dojdę do głosu, gdy wtem padło owo fatalne zdanie: „Oczywiście był pan na wystawie koni w Bagdadzie — proszę mi opowiedzieć dokładnie, jak to było?".

Bardzo nie lubię kogoś rozczarować, więc pożegnałem się szybko i zostawiłem zdziwioną pannę Marysię (myślę, że tak musiała się nazywać) samą pośród tych wszystkich kiełbas, papierosów i mydeł — i wróciłem do siebie klnąc zły los, który mnie prześladuje.

Żeby sobie ulżyć, zacząłem wspominać różne piękne konie, które odegrały jakąś rolę w moim życiu. O jednym z nich opowiem.

Było to w Kairze owego dnia, kiedy uderzenie brytyjskie przełamało umocnienia niemieckie pod El Alamein.

Byłem w znakomitym nastroju z tego powodu i naprawdę rozczulony serdecznością doznawaną na każdym kroku w Egipcie. Oto przed chwilą jakiś Grek pozdrowił mnie uprzejmie „dzień dobra" i zapytał piękną francuzczyzną, kiedy nareszcie przyjdzie znów wojsko polskie, o którym oni — mieszkańcy Egiptu — zawsze myślą z najwyższą sympatią.

Przechodziłem właśnie przez Plac Opery i nagle skamieniałem, wrosłem w brnk, oniemiałem — jak chcecie.

Dostałem prosto w serce „coup direct", zakochałem się od pierwszego spojrzenia, zapłonąłem każdą kropelką krwi, doznałem szczęścia, zachwytu i nieodłącznego bólu nieposiadania, ale — wybaczcie mi — to nie była tym razem kobieta.

Przez środek Placu Opery, śliskim od wody asfaltem — niósł się, pląsał i tańczył koń — cud. Powiedziałem nareszcie!

Wiem, że 999 na 1000 czytelników przerwie czytanie mego felietonu. Wiem i nie martwię się. Pogadam sobie intymnie z tym jednym, jedynym, który będzie chciał czytać dalej. Wiesz przecie, cierpliwy i jedyny Czytelniku, zgadzasz się ze mną, że ze wszystkich licznych ras, praras koni zamieszkujących ongi wilgotne lub suche lasy, przebogate doliny, jałowe góry i wyżyny — najdoskonalszym prototypem konia był gorącokrwisty, pustynny arab płaskowyżu Arabii. Niechybne przeczucie angielskiego hodowcy tego właśnie konia wybrało na protoplastę, ściślej mówiąc współprotoplastę dzisiejszego konia pełnej krwi angielskiej. Nie ma dziś ani jednej dostojnej gałęzi rodowodu tej rasy koni, w której żyłach nie płynąłby ten gorący prąd krwi pustynnego araba.

Pamiętasz Przyjacielu zapewne imiona trzech ogierów czystej krwi arabskiej, będących źródłem wiecznego strumienia najszlachetniejszej, jakże błękitnej krwi, która ogrzewa i pełnym czyni wielkie serce „folhluta"

Godolfin Arabian, Berly Turk i Darley Arabian. Drugi z nich niewątpliwie dlatego wziął udział w tym wspaniałym dziele stworzenia najdoskonalszej rasy koni na świecie, że dnia 12 września 1683 roku polski król Jan III zgniótł potęgę turecką pod Wiedniem, bo od owego dnia właśnie Berly Turk, jeniec wojenny, zaczął wędrować jako prezent po krajach Europy, aż trafił do mglistej wyspy Anglii. I tam, dzięki swemu temperamentowi i, powiedzmy, uporowi został bez pozwolenia swego pana mężem pewnej pięknej klaczy, a następnie ojcem źrebięcia, które w czwartym roku zdobyło wielką nagrodę na wyścigu.

Otworzyły się szeroko oczy angielskiego hodowcy i maleńki wzrostem, ale wielki krwią Berly Turk stanął w honorowym boksie tamtejszej stajni.

Przypomnijmy sobie pokrótce cechy wzorowego araba.

Sucha, mała głowa z szerokim czołem, wydatnymi ganaszami, wyrazistymi, pięknymi oczami, krótkimi, doskonale wykrojonymi uszami. Dość długa, elastyczna szyja przechodzi w wydatny kłąb. Doskonale wysklepione lędźwie i bardzo prosty, niemal równoległy do podłużnej osi ciała krzyż. Skośna łopatka, doskonale umięśnione przedramię i udo, wyraziste i mocne ścięgna, wytrzymałe kopyta, miękki, jedwabisty włos nieobfitej grzywy i wysoko noszonego ogona. Gorący temperament, olbrzymia wytrzymałość w pracy i niewygodach, wierność aż do śmierci i owa jedyna fantazja wielkopańska, dumna a nonszalancka, wdzięk i kokieteria podświadoma. Ruchy idealnie harmonijne, doskonale płynne, naturalne i celowe. Wzrost niewysoki, choć różny u różnych typów tej rasy. Maść najczęściej siwa, gniada i kasztanowata — rzadko innych odcieni, nigdy bułana.

Takimi były najsławniejsze i w największej czystości krwi utrzymane konie z Nedżdu, niewątpliwie takimi wszystkie dwadzieścia klaczy Mahometa, po takie konie jeździli polscy hodowcy do Aleppo, i nie inne sprowadzał kiedyś do Polski Emir Rzewuski, a ostatnio Ziętarski do stajni Romana ks. Sanguszki i do rządowej pepiniery w Janowie Podlaskim. Tak wyglądały znakomicie zaaklimatyzowane araby prywatnych i państwowych stajni — i dlatego własnie uznano je w ostatnim dwudziestoleciu za najlepsze na świecie, importując wielokrotnie do Ameryki, Niemiec i innych krajów — na chwałę naszej hodowli.

Ty, jedyny Czytelniku wiesz, że nawet w Arabii Saudyjskiej, a tym bardziej w Syrii, Iraku, Iranie, Palestynie i Egipcie spotyka się konie daleko odbiegające od wzoru konia arabskiego — przeróżne mieszaniny ras, rozmaite warianty i wyskoki natury i moc hrzydalów, stanowiących zbiorowisko wad genetycznych i błędów wychowu.

Tym więc łatwiej zrozumiesz, łak mocno zabiło serce, kiedym ujrzja ów cud.

Prowadził go na pojedyńczych wodzach młody chłopiec arabski. Widziałem początkowo przód konia potem jego prawy profil i wreszcie tył, gdy już znikał w ulicy Malika Farida. Jak na pokazie: wszystko mogłem zobaczyć, każdą partię tego cudownego ciała ocenić.

Nie miał więcej niż cztery lat, ale też nie mniej, bo już wyrósł z niezdarności „podlotka" i biła odeń pełna dojrzałość ogiera. Niewielki, jak wszystkie araby i idealnie proporcjonalny, stąpał lekko ale pewnie po śliskim asfalcie ulicy. Ciemnosiwy, ale bez cienia dereszowatości, doskonale jednostajny tą maścią, która stopniowo jaśnieć będzie, aż zabłyśnie nieskazitelną białością na długie lata, żeby dopiero ku starości pokryć się złotobrązową „breczką". Jedwabista grzywa spadała dobrze wyszczotkowanymi pasmami na lewą stronę odsłaniając mi doskonały łuk szyi; wysoko osadzony ogon niósł się błyszczącym bańczukiem. Ale dopiero te nogi, a oczy!! Hej mocny Boże! Nie — Przyjacielu, nie moje pióro powinno opisywać to, na com patrzył osłupiały z zachwytu.

Nagle zdałem sobie sprawę, że wokół mnie coś huczy i trąbi, a jednocześnie gorący zaduch motoru buchnął mi w twarz, usłyszałem pisk hamulców i gardłowy głos o niezbyt miłej intonacji.

Obejrzałem się i już zupełnie oprzytomniałem. Za mną stał duży samochód ciężarowy, z którego szoferki wydobywał się ów zagniewany głos. Obok mnie policjant w fezie, uzbrojony w jakiś garłacz — pytał o coś, podczas gdy szereg samochodów stojących za ciężarówką trąbił w kilku tonacjach. Z jednego z nich wysiadło dwóch wojskowych, którzy z groźnymi minami zbliżali się w moją stronę. Na próżno usiłowałem wytłumaczyć Egipcjaninowi, co był przyczyną mojej kontemplacji — patrzył na mnie groźnie, najwidoczniej biorąc mnie za wariata, pijanego lub w najlepszym razie malarza.

„Może panu pomóc?" — odezwał się obok mnie jakiś głos. Spojrzałem i początkowo dostrzegłem tylko fajkę w długich, żółtawych zębach, potem podłużną twarz idealnie wygoloną, a wreszcie oczy siwe, trochę załzawione, prawie bez oprawy, bardzo dużo zmarszczek i ciężkie worki dolnych powiek. Ów major angielski i jego towarzysz kapitan francuski szybko zlikwidowali zajście. Egipcjanin odszedł, rząd samochodów ruszył.

Szliśmy nic nie mówiąc w stronę Shepherd'a i na pewno wszyscy trzej wiedzieliśmy, że za chwilę będziemy rozmawiać przy kieliszkach. Z głębi ulicy Malika Farida wołało mnie przeciągłe rżenie.

Poprzez hałas ulicy, trąbienie klaksonów i zgrzyt kół tramwajowych przenikał, rozlewał się i królował pełny głos młodego ogiera: zdawał się śpieszyć w pierwszym chromatycznym pasażu, rwał synkopami, zawracał i brzmiał.

* * *

Major pił „double-whisky", my z Francuzem „Highborn'y" (niej było już w Kairze ani „Picona" ani „Cinzano").

Dokładniejsza wzajemna prezentacja odbyła się według wszelkich przepisów wojskowych: ja, jako najmłodszy, wymieniłem imię, nazwisko, stopień i oddział macierzysty, przyczym oczy obu oficerów przechodziły kolejno na moje epolety i barwy broni na kołnierzu frencza.

Major ucieszył się: „Eu, to ja wam zdawałem stanowiska na zachodnim odcinku". Odpowiedziałem, że przypominam sobie i dodałem, że jeden z jego kolegów podarował mi wtedy laskę, którą mam dotychczas.

„Eu" — zdziwił się i ucieszył znowu major. Kapitan wymienił również nazwę swego pułku i wyraźnie czekał potem na reakcję z mojej strony.

Jakżeby? — pamiętałem doskonale. Toż to ten pułk dragonów, który wbrew duchowi czasu dumnie przechowuje w swej tradycji bohaterską obronę pewnego departamentu przed Jakobinami. Pamiętam świetnie miasteczko, gdzie stacjonowali jeszcze w 1940 roku: na placu centralnym wielki pomnik Napoleoa I Bonaparte, na sąsiednim statua pułkow-

(Ciąg dalszy na str. 5)

Dziennikarka niemiecka o bombardowaniu Rzeszy

Dziennikarka niemiecka Ingeborg Meyer-Sickendiek bardzo plastycznie opisuje w „Reichu" swe wrażenia z nocnego nalotu w Niemczech zachodnich w marcu 1943 r. Czytamy tam m. in.:

„Było to jak po bitwie. Mówiliśmy jeszcze później o tym, jak cicho siedzieliśmy tam razem, gdy tuż obok nas rozlegały się sygnały śmierci. Trwało to zaledwie godzinę, ale nam wydawało się wiecznością... Paliliśmy papierosy nie odczuwając ich smaku. W przegubie dłoni odczuwaliśmy straszliwą zwiotczałość, zdawało się nam, że nerwy zupełnie się rozcieńczyły. Podchodziliśmy to do jednych to do drugich drzwi w nadziei, że hałas zniknie, ale ciągły odgłos walących się ciężarów nie ustawał. Gdy zgasło światło, włączyliśmy oświetlenie zastępcze: nasze wielkie, białe twarze porozpraszały się daleko. Mogę sobie uprzytomnić wygląd mego sąsiada tylko wówczas, gdy przypomnę, jak miał osadzony kapelusz — nie przypominam sobie jednak rysów jego twarzy. Nasza sparaliżowana ze strachu jaźń wyprężyła się jak bąk i poczęła kręcić się gorączkowo. W ten sposób ożyliśmy. Gdy nagle ktoś zawołał, że z naszych okien bucha ogień, rzuciliśmy się szybko naprzód — już bez śladu paraliżu. Pokonaliśmy nagle wszystkie odległości, jakie stworzyło wśród nas zastępcze światło, byliśmy teraz obok siebie, dotykając i zagabując sąsiadów, mówiąc do nich głośno. Naokoło było wiele ognia. Nad podwórzem tańczyły iskry. Podczas gdy mężczyźni uruchomiali pompy, wróciłyśmy do naszego lokalu, jak gdybyśmy coś zgubiły. Jeszcze dziś wydaje mi się, gdy tam wchodzę, że coś mojego musiało tam pozostać. Nie znajduję jednak nic...

„Na ulicy szalał ogień. Uderzał w niebo tysiącem czerwonych języków. Na skrzydłach hucznego wiatru płomienie pędziły ulicami w dół i w górę. Schody, żaluzje, meble, materiały, papier, skóra — wszystko przetapiało się w żarze i obracało się w popiół.

„Nazajutrz świeciło słońce. Chłodziliśmy sobie oczy, które paliły od dymu i siarki. W przeciągu nocy miasto przeżyło jak gdyby trzęsienie ziemi. Nie było ani gazu, ani wody, w niektórych dzielnicach nie było też światła. Rozbiły się liczne tory naszego życia. Jeszcze przyszłe pokolenia wspominać będą z dreszczem zgrozy to, co wydarzyło się tej nocy. Gdyśmy przechodzili przez miasto, serce ciążyło nam w piersi jak kamień. Na niejednej twarzy widać było ślady łez. W wydrążeniach ścian syczał jeszcze ogień, na zewnątrz wydostawał się błękitny dym. Nasze kościoły, a wśród nich pomniki średniowiecza, stały się porozbijaną mozaiką przeszłości. Szerokie, wysokie stosy gruzów, domy handlowe, apteki, sanatoria, szeregi domów mieszkalnych. Czuliśmy się tak, jak gdyby zadano nam cios w głowę. Wielu poszukiwało swych warsztatów pracy — znajdowało tylko dymiące resztki murów..."

O POLSKIEJ MARYNARCE WOJENNEJ

Wiceadmirał King, szef brytyjskich oficerów łącznikowych przy marynarkach sprzymierzonych, oświadczył, że obok marynarki brytyjskiej i amerykańskiej walczy osiem marynarek sprzymierzonych. Polska Marynarka Wojenna posiada 12 okrętów i 2.600 ludzi.

Admirał King dodał, że za wybitne czyny bojowe oficerowie, podoficerowie i marynarze sojusznicy otrzymali następujące odznaczenia: 24 D. S. O. (Distinguished Service Order), 48 D. S. C. (Distinguished Service Cross), 57 D. S. M, (Distinguished Service Medal). Można stwierdzić, że z liczby tych odznaczeń 11 D. S. O., 11 D. S. C. oraz 15 D. S. M. przypada na Polską Marynarkę Wojenną.

Naczelny Wódz nadał oficerom, podoficerom i marynarzom 25 Krzyży „Virtuti Militari", 2 Złote Krzyże Zasługi z Mieczami, 775 Krzyży Walecznych.

THE HORSE HEAD

Dokończenie

nika Traveau, który „spacyfikował" nieugięty, katolicki departament, a tuż w koszarach dragonów — tradycja, że oni trwali najdłuższej, że z nimi najcięższą mieli robotę pionierzy 1 Republiki.

O Francjo, Francjo..

„Aaa" — i odpowiedni ukłon i stosowny uśmiech, pełen podziwu i świadomości doznanego zaszczytu.

Widać ta reakcja podobała się Francuzowi, bo zaraz zaczął wychwalać bitność i brawurę mojej broni, której historię znał dosyć dokładnie od napoleońskich po dzisiejsze czasy. Major zdystansował go jednak, kiedy mi zakomunikował, że jego pułk wie do dziś o zaszczytnej walce z polskimi kawalerzystami pod Waterloo.

„Pułk mojego brata, który wchodził swego czasu w skład armii Wellingtona, ma w swojej tradycji blisko dwuletnie walki z polskimi lekkokonnymi u wybrzeży dzisiejszej Portugalii" — dodał i patrzył przy tym więcej na Francuza niż na mnie.

Zrobiło mi się miło pomiędzy tymi dwoma starszymi panami i naprawdę o całe mile byłem daleki od poczucia niższości, które niejednokrotnie ogarnia, a może ogarniało wielu z nas w stosunkach z cudzoziemcami.

„Esma" zaledwie nadążał przynosić szklanki. Major stale pił „double whisky" my z Francuzem „Highborn'y" (nie było już bowiem wtedy w Kairze ani kochanego „Picona", ani przemiłego „Cinzano").

Potem rozmawiałem długo z moimi towarzyszami o hodowli koni u nas, w Anglii i Francji, a nawet posprzeczaliśmy się trochę o przyszłość konia w nowoczesnej walce.

I tu znów spotkałem się z nieudawanym zdziwieniem, kiedym zaczął wyliczać sławne rody koni, hodowanych w ich ojczyznach: „skąd pan o tym wie?"

Przypomniała mi się zaraz pewna sanitariuszka angielska, która nie mogła wyjść z podziwu nad moją znajomością historii Anglii, a zupełnie oniemiała, kiedym zaczął rozmawiać o malarzach staroangielskich.

„Niech mi pan powie" — spytał pod koniec rozmowy major — „skąd bierze się ta pasja, z jaką pan mówi o tych wszystkich waszych cudach hodowlanych?"

Odpowiedziałem, że zawsze podniecam się, kiedy mi przyjdzie mówić o moim kraju z ludźmi, którzy go nie znają, choćby to dotyczyło nawet tak małego działu naszej gospodarki, jak hodowla.

A potem mówiłem im jeszcze, jak wiele rzeczy tutaj przypomina mi Polskę — najwięcej chyba ptaki i rola wzruszona, czekająca siewu. „Eu" — mówi „zimny" Anglik.

„Tiens" — dodaje „wyrachowany" Francuz — i obaj patrzą na mnie serdecznie — jeden szarymi, trochę załzawionymi, drugi czarnymi, trochę wypukłymi oczami.

* * *

Kiedy wczoraj zasypiałem w swoim wigwanie, pod powiekami widziałem głowy majora i kapitana, a między nimi rozwarte karmazynowym wnętrzem chrapy arabskiego ogiera i jego oczy piękniejsze od oczu wszystkich kobiet na świecie — prócz jednych, jedynych, które może płaczą — gdzieś po drugiej stronie tysiąca mil.

„Black out" — szeptałem pamięci.

„Capstrzyk" — szeptałem sercu — i udawałem, że naprawdę chcę zasnąć.

St. A. Rola

Program Radiowy

23/V niedziela godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Skrzynka pocztowa 3) Koncert trio radiowego: H. Gold, J. Petersburski i A. Melodyst. W programie: a) „Szwoleżerowie" — pieśń 1 pułku szwoleżerów b) Senne marzenie c) L. Różycki — Walc z opery „Casanowa".

24/V poniedziałek godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Polak, który zatrzymał słońce — pogadanka inż. H. Bogusławskiego w związku z czterechsetną rocznicą zgonu Mikołaja Kopernika 3) Fr. Chopin — koncert f-moll (III część) w wyk. A. Rubinsteina z tow. orkiestry (płyta).

25/V wtorek godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Tygodniowy przegląd wydarzeń w oprac. Zb. Racięskiego 3) Polskie piosenki ludowe i popularne w wyk. Marii Kijewskiej, przy fort. J. Petersburski.

26/V środa godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) „Oblicze propagandy niemieckiej" w oprac. R. Mossina 3) Muzyka i piosenka.

27/V czwartek godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) Felieton polityczny w oprac. Zb. Racięskiego 3) Koncert trio radiowego: H. Gold, J. Petersburski i A. Melodyst: a) Muzyka z filmu angielskiego o polskich lotnikach „Warsaw Concerto" b) Saint Saens — Śmierć łabędzia c) Piosenka starej Warszawy.

28/V piątek godz. 19—19.20.

1) Dziennik radiowy 2) „Powojenne gospodarstwo Polski" w oprac. St. Zarzewskiego 3) Muzyka i piosenka.

29/V sobota godz. 19—19.20

1) Dziennik radiowy 2) „O czym się mówi i pisze na świecie" 3) Pogadanka religijna 4) Bach-Gounod „Ave Maria" (płyta).

Poszukiwania

276. Orczyk Stanisław (P.F.P. 551) — żony Olgi i syna Mieczysława ostatnio zam. w Brześciu n. B.

277. Cieszyński Marian (P.F.P. 551) Kobyłeckiego Antoniego. Był w Czok Pak i wyjechał z Rosji przy pierwszej ewakuacji.

277. Kwiatkowski Józef (P. F. P. 551) z Przemyśla — krewnych Harasimowiczów z Nowego Miasta i znajomych.

278. Zbigniew Racięski (P. F. P. 58) — Styczyńskiego Juliana, starosty z Gorlic, Smolika Juliana wiceprezesa sądu z Nowego Sącza, płk Jurackiego Pawła, Michalikowej Jadwigi ur. 1909 r. w Tomsku, Popławskiego Zbyszka lat 5.

279. Jordan Marian Feliks (c/o Paramount Film Ballard Estate, Bombay)—plut. pchor. Kuroczyckiego Andrzeja, b. jeńca z Rosji, który był pod adresem Middle East 2414.

280. Pyrski Stanisław z Grodna (P. F. P. 208) — żony Sabiny, dzieci i krewnych.

281. Łukasiewicz Stanisław (P. F. P. 637) — Perskiego Mariana z Ostrzeszowa i znajomych.

282. Pade Stanisław (P. F. P. 58) — Nietuniewicza Tadeusza z Białegostoku. Ktoby wiedział o jego adresie proszony jest o powiadomienie poszukującego.

283. Światpol, 45 Belgrave Square, London, S. W. 1 prosi następujące osoby o podanie swoich adresów:

1. Andruszkiewicz K., poszukiwany przez Krosnowską Zofię z USA.
2. Brodowska-Nowicka A., poszukiwana przez Kutyłowskiego Jana z USA.
3. Czechowski Zygmunt, poszukiwany przez Gemborek Jana i Warden (Katza) Władysławę z USA.
4. Czekalska Leontyna lub Leonia poszukiwana przez Światpol.
5. Por. Gawron Jan był w Blackpoolu, poszukiwany przez R. Matuszczak z USA.
6. Giedziun Jan, poszukiwany przez brata Giedziuna Bronisława.
7. Kapitan Józef Fuchs poszukiwany przez Zośkę, Dankę i Jędrka z Algeru.
8. Leszek Józef, poszukiwany przez Skorecką Annę z USA.
9. Madura Zofia, poszukiwana przez Rzeszutko Annę z USA.
10. Kapral Markowski Piotr, poszukiwany przez Fudala Annę z USA.
11. Maciszewski Felicjan, poszukiwany przez Światpol.
12. Owczarski Marian, poszukiwany przez Dąbrowskiego Józefa z Kanady.
13. Pacult Mieczysław, poszukiwany przez Korycińską Teofilę z USA.
14. Serafin Adam i Stefania, poszukiwani przez Trochim Stefanię z USA.
15. Soroń Stanisław, poszukiwany przez Gazdę Annę z Kanady.
16. Szmuc Jan (lat 17) i Chruściel Władysław (lat 17) poszukiwani przez Szmuc Władysława.
17. Zaryn Paweł, poszukiwany przez brata Zaryn Michała.
18. Wilczyński Kazimierz i Kujawa Marian, poszukiwani przez Zdrojewskiego.
19. Ppor. Stanisław Paczoski, Polish Forces, Paiforce Nr 316, prosi krewnych i znajomych o nawiązanie z nim kontaktu korespondencyjnego za pośrednictwem Światowego Związku Polaków zza Granicy.

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

BRATERSKIE SOBIE PODAJMY RĘCE, ABYŚMY WIEDZIELI, ŻE W WĘZEŁ SPAJAMY SIĘ NIEROZDZIELNY, NIEROZERWALNY, UŚWIĘCONY TYM SŁOWEM: POLSKA.

(ST. WYSPIANSKI. WYZWOLENIE)

tygodniowy PRZEGLĄD WYDARZEŃ

ZPH

WIECZOREM DNIA 12 MAJA zakończyła się oficjalnie — prędzej niż pierwotnie sądzono — kampania afrykańska tej wojny pełnym zwycięstwem sojuszników. Ani jeden żołnierz „osi" nie znajduje się dziś na ziemi afrykańskiej. Cały ten olbrzymi kontynent, z wyjątkiem stosunkowo niewielkich posiadłości hiszpańskich i portugalskich, jest w rękach sprzymierzonych. Fakt to olbrzymiego znaczenia strategicznego i politycznego dla dalszego rozwoju wydarzeń wojennych i ukształtowania się stosunków w przyszłości

Zdobycie Afryki było jednym z celów wojennych „osi". Ideolodzy hitleryzmu i faszyzmu wielokrotnie podkreślali, że bez Afryki zawiodą plany wprowadzenia „nowego ładu" w Europie, która w ich mniemaniu nie mogłaby rozwijać się na dłuższą metę w odcięciu od Afryki i ze stanem zagrożenia w basenie Morza Śródziemnego. Ideolodzy „osi" ukuli nawet określenie geopolityczne „Eurafryki" dla „wielkiego obszaru" europejsko-afrykańskiego, którym zawiadywać miała spółka niemiecko-włoska z przewagą kapitału niemieckiego.

Dziś plan ten leży w gruzach. Załamała się zarazem jedna ze światowych koncepcji politycznych i wojennych państw „osi". Co więcej, porzucenie Afryki oznacza dla Niemiec wyzbycie się głównej szansy wygrania wojny. Włosi stracili w Afryce wszystkie swe posiadłości. Niemcy — kilka doborowych jednostek swej armii oraz renomę niezwyciężonych. Kampanie afrykańskie wraz z abisyńską kosztowały „oś" 900.000 ludzi. W Libii i w Tunisie Niemcy stracili 250.000 ludzi. W niewoli brytyjskiej znalazło się wraz z poprzednimi jeńcami 150.000 Niemców oraz kilkunastu generałów, a wśród nich dowódca frontu tunizyjskiego gen. v. Arnim.

ZASŁUGA ZDOBYCIA AFRYKI PÓŁNOCNEJ przypada wszystkim sprzymierzonym. Tak się złożyło, że z wyjątkiem Rosjan wszyscy niemal sojusznicy europejscy przelewali krew na piaskach afrykańskich lub u ich brzegów. W szczególności zaś bez pomocy Stanów Zjednoczonych kampania afrykańska przeciągnęłaby się zapewne jeszcze dość długo, a bez historycznej decyzji Roosevelta i Churchilla wysadzenia wojsk sprzymierzonych na brzegach francuskiej Afryki północnej nie przybrałaby tak imponujących rozmiarów. Główna jednak zasługa zwycięstwa spada na Anglię, która była organizatorką obrony Afryki od pierwszej chwili zagrożenia tego kontynentu, tzn. od 10 czerwca 1940 r., gdy Włochy odurzone pychą wypowiedziały W. Brytanii wojnę.

Była to chwila szczególnie dramatyczna dla Imperium Brytyjskiego. Po załamaniu się Francji Anglia zostawała sama, źle uzbrojona, by bronić zagrożonej od zachodu i od strony Abisynii doliny Nilu, nie mając już oparcia ani w Tunisie, ani w Syrii, które to prowincje, jako podległe wówczas rządowi Vichy, dostawały się pod wpływy „osi". Jeden tylko sojusznik pośpieszył wówczas Anglii z pomocą i z gotowością walki na Środkowym Wschodzie. Byli to Polacy.

Od tego czasu kiedy Churchill w chwili największego zagrożenia wysp brytyjskich posyłał jednak z Anglii jedyną dywizję pancerną dla obrony Nilu, upłynęły 3 lata. Trzy lata zwycięstw i porażek, kryzysów i wzlotów, zawodów i triumfów. Anglia zdołała jednak przezwyciężyć wszystkie trudności i rozczarowania, by odnieść w końcu zwycięstwo, które stanowi istotnie sowitą odpłatę za Dunkierkę. Zarówno umiejętnie przeprowadzona kampania abisyńska, jak i czyny wojenne VIII armii oraz ostatnie mistrzowskie uderzenie I armii, która zdobywając Tunis szybciej nawet niż spodziewano się w Londynie zburzyła ostatnie plany obronne von Arnima, oczekującego głównego uderzenia od strony VIII armii — wszystko to zapisane będzie trwale w historii wojskowości.

SPRZYMIERZENI MIELI W AFRYCE PRZECIWNIKA SILNEGO, który bił się do końca z wielką energią. Gen. v. Arnim odrzucał warunki bezwzględnej kapitulacji. Prasa nie ukrywa też wartości żołnierza niemieckiego i przestrzega przed optymizmem tych, którzy widzą już dziś otwartą i łatwą drogę do Europy. Z drugiej jednak strony kampania tunizyjska pokazała, że tam gdzie sprzymierzeni rozporządzają przewagą techniczną i wyćwiczonym żołnierzem, wojsko niemieckie nie wytrzymuje naporu i załamuje się. Armia v. Arnima była skazana na stracenie. Nie mogła być ewakuowana z braku floty, a gdy postradała poparcie lotnictwa, musiała zaprzestać walki. Przewaga W. Brytanii na morzu odegrała rolę niemałą w walce o Tunis. Jutro zaważy ona na losach wojny.

Zakończyła się kampania afrykańska — zacznie się obecnie bój o Morze Śródziemne. Nieustanne bombardowanie południowych Włoch, a w szczególności wyspy Pantellarii wskazuje na jeden z kierunków przyszłych działań wojennych. Położona między Tunisem i Sycylią, ufortyfikowana przez Mussoliniego, który chciał z niej uczynić włoską Maltę, wyspa Pantellaria była już nie tylko wielokrotnie bombardowana z powietrza, ale i ostrzeliwana przez brytyjskie jednostki morskie. Unieszkodliwienie tej włoskiej bazy zabezpieczyłoby silniej jeszcze żeglugę sojuszników wzdłuż brzegów afrykańskich, która odbywać się będzie mogła obecnie pod osłoną myśliwców z lotnisk lądowych. Skrócenie drogi między Anglią i Ameryką a Środkowym Wschodem da ogromną oszczędność czasu i tonażu, co stanie się pierwszym praktycznym następstwem odniesionego w Afryce północnej zwycięstwa.

Operacje w basenie Morza Śródziemnego wymagać będą jednak jeszcze starannych przygotowań, a więc ugruntowania przewagi lotniczej i morskiej oraz umocnienia baz, z których będzie można dokonywać desantów na kontynent europejski. Drogę do Włoch zamykają Sycylia, Sardynia i Korsyka, drogę na Bałkany — Kreta i Dodekanez. Opanowanie tych wysp nie będzie łatwe. Nie wystarczy bowiem wysadzić desant, trzeba go jeszcze utrzymać, a każdy, kto zdaje sobie sprawę z ilości zaopatrzeń pochłanianych przez nowoczesną armię zrozumie, jaką flotą i jakim lotnictwem trzeba rozporządzać, by podtrzymać działania zaczepne desantu.

PREMIER CHURCHILL PRZEMAWIAJĄC Z AMERYKI do oddziałów angielskiej Obrony Narodowej (Home Guard) z okazji jej 3-lecia przestrzegał przed przypuszczeniem, że niebezpieczeństwo uderzenia Niemiec na Anglię zniknęło całkowicie. Nie minie ono dopóty, dopóki nie nastąpi bezwarunkowa kapitulacja III Rzeszy. Premier podkreślał jednak, że zbliża się chwila, kiedy „sprzymierzeni wyruszą z wysp brytyjskich do śmiertelnej walki na kontynencie europejskim". „W Waszyngtonie — mówił — opracowywane są plany wymarszu naszych armii. Mamy przed sobą nie jeden marsz, ale ich szereg. Przewodnikami naszymi muszą być: plan i przewidywania."

Dotychczas nie ujawniono szczegółów rozmów waszyngtońskich i prawdopodobnie nie będą one ujawnione. Można jednak przypuszczać, że na konferencji omawiane są nie tylko sprawy strategiczne, ale i polityczne. Od czasu spotkania w Casablance z przed 4 miesięcy, od czasu niedawnej wizyty min. Edena w Ameryce zaszły nowe fakty, które wymagają nowych postanowień. Sprzymierzeni znaleźli się znowu na jednym z zakrętów wojny.

Muszą oni liczyć się z możliwą reakcją „osi" nie tylko na polu bitew, ale również w dziedzinie politycznej. Nie należy wyłączać nowej ofensywy dopłomatycznej Berlina, który w kompromisie pokojowym widziałby zapewne najdogodniejsze wyjście z matni w jakiej się znalazł. Zarówno zaczepna postawa sojuszników na Morzu Śródziemnym oraz ich nieprzerwana ofensywa lotnicza (ostatnio bombardowano znowu bardzo silnie Duisburg, dwukrotnie Berlin oraz Bochum, Kilonię, Emden, Karlsruhe, Antwerpię, obiekty w Czechosłowacji, w Holandii, Belgii i Francji) zmuszą Hitlera do odpowiedzi. W czym się ona wyrazi? Coraz więcej krąży pogłosek, że zbliża się chwila nowej ofensywy niemieckiej w Rosji, przy czym głównym celem uderzenia byłaby tym razem Moskwa. Narazie Rosjanie wciąż próbują okrążyć i odciąć Noworosyjsk, a lotnictwo ich rozwija wzmożoną działalność na tyłach wojsk niemieckich. Z tego tytułu bombardowało ono Warszawę, jedno z najbardziej doświadczonych w tej wojnie miast europejskich. Czy poza Rosją planują Niemcy jakieś działania zaczepne w basenie Morza Śródziemnego? Pozostaje to zagadką. Ale zjawienie się gen. Rommla na Krecie zasługuje na uwagę.

POZOSTAJE JESZCZE JEDNA NIEWIADOMA: JAPONIA. Wszczęcie przez nią działań zaczepnych np. w kierunku Indii mogłoby poważnie pokrzyżować plany sojuszników. Przybycie na konferencję w Waszyngtonie marsz. Wavella, dowódcy wojsk sprzymierzonych w Indiach świadczyłoby, że sprawy japońskie stanowiły jeden z celów spotkania Roosevelta z Churchillem. Czy sprzymierzeni zamierzają uprzedzić plany japońskie i sami przystąpić do ofensywy na większą skalę na Pacyfiku i w Burmie? Poważny kwartalnik amerykański „Foreign Affairs" w numerze styczniowym z r. 1943 czyniąc przegląd wydarzeń za rok ubiegły stwierdzał, że pod koniec roku 1942 Ameryka poczyniła takie postępy, że może „przedsięwziąć ofensywę na obu półkulach. Stan armii amerykańskiej i marynarki uległ podwojeniu z nadwyżką". Od czasu napisania tych słów potencjał Stanów Zjednoczonych wzrósł jeszcze bardziej. Uderzenie amerykańskie na wyspę Attu na Aleutach jest może zapowiedzią szerszych działań przeciw Japonii.

WOJNĘ Z JAPONIĄ prowadzą przede wszystkim mocarstwa anglosaskie i Chiny. Nie prowadzi jej Rosja, która utrzymując z Tokio stosunki przyjazne domaga się natarczywie utworzenia drugiego frontu w Europie. Lecz jak pogodzić te żądania z ewentualnym wzmożeniem walk z Japonią? Zagadnienie uzgodnienia strategii z Rosją jest zatem wciąż aktualne. Sowiety nie były reprezentowane w Casablance. Obecnie w Waszyngtonie nie ma nawet ambasadora Litwinowa. Natomiast do Moskwy wyjechał specjalny wysłannik prez. Roosevelta, b. ambasador Davies. Podobno udać się tam ma również angielski zwolennik „drugiego frontu" lord Beaverbrook, który bawi obecnie w Ameryce oraz ofiarowujący zazwyczaj wszystkim w takich wypadkach swoje usługi p. Benesz, przebywający również w Stanach Zjednoczonych. Czy zabiegi te doprowadzą do spotkania Roosevelt-Churchill-Stalin, jak niektórzy sądzą — nie wiadomo.

„New York World Telegram" pisząc na ten temat wywodził, że „w Europie powstały przeszkody polityczne, które stanęły w poprzek szlaków inwazyjnych". Istotnie, od czasu konferencji w Casablance nastąpiło zerwanie stosunków polsko-sowieckich i zaostrzenie stosunków sowiecko-jugosławiańskich.

Może jednak dlatego szczególnego znaczenia nabrały słowa wypowiedziane o Polsce w Chicago na zebraniu przedstawicieli przemysłu i towarzystwa spraw zagranicznych przez ambasadora W. Brytanii w Waszyngtonie lorda Halifaxa, współtwórcy sojuszu polsko-brytyjskiego. Stwierdziwszy, że we wrześniu 1939 r. Wielka Brytania „w bardzo małym stopniu była w stanie udzielić Polsce pomocy", lord Halifax zaznaczył, że Anglia dała wtedy Polsce słowo, którego nie cofnęła i którego „nie cofnie także i dziś". Opisawszy w mocnych słowach obraz cierpień narodu polskiego oraz jego nieugiętą walkę przy boku Wielkiej Brytanii lord Halifax powiedział: „Nadejdzie znów z pewnością dzień, gdy Polska zajmie należne miejsce wśród narodów świata. Nie jest to jedynie akt sprawiedliwości, jaki winniśmy Polsce. Jest to również nasz obowiązek, który musimy spełnić, jeśli ma zapanować pokój. Ponad sto lat Polska cierpiała niewolę. Lata te były dla Europy wschodniej latami niepokoju. Obecnie nie ma nadziei na prawdziwy pokój, dopóki Polska nie odzyska należnego stanowiska".

Oby z tych słów doświadczonego męża stanu i członka rządu brytyjskiego wysnuto wszędzie należyte wnioski.

D. I.

BITWA POD MŁAWĄ

Dalszy ciąg z nr 19 (58)

Gdy według jego obliczeń zebrały się tam oddziały przeciwnika w sile około batalionu, skierował na wieś ogień jednego pułku artylerii ciężkiej i jednego lekkiej. Ze wsi poleciały strzępy, większa jej część zapaliła się. Niemcy w dzikiej panice zaczęli rozbiegać się na wszystkie strony i byli koszeni ogniem naszych ckmów. Jeden batalion Niemców legł. To wyprowadziło ich z równowagi, bo na nasz II i III batalion ponownie spadła potworna nawała ognia, trwająca kilka minut, która przeistoczyła się następnie w rzadki ogień z równoczesnym silnym bębnieniem po tyłach. Znów łączność z dowództwem pułku i wszystkimi kompaniami naraz, a także z sąsiadami, została przerwana. Telefoniści opowiadali potem, że na niektórych odcinkach drut był porwany na przestrzeni kilkunastu metrów tak, że trzeba go było sztukować nowymi kawałkami.

Gdy zapadła noc powtórzyło się to samo, co w dniu poprzednim. Znów długie sznury cieni, znów setki tysięcy czerwonych nici i znów krótkie, lecz straszliwe w swych skutkach terkotanie dziesiątek luf, a następnie cisza. Drugie natarcie Niemców zostało skoszone.

W nocy paliły się inne osiedla, które w ciągu poprzedniej ocalały. Na bezpośrednim przedpolu szalały dwa ogromne pożary. Paliły się: wieś N. zapalona przez naszą artylerię i wieś Zimnocha przez niemiecką.

Noc przeszła w gorączkowym ruchu. Wywożono rannych, podwożono nową amunicję i żywność, zakopywano poległych, łatano wyrwy w drutach. W powietrzu unosił się zapach spalenizny i gorzkiego, gryzącego oczy dymu.

Mimo piekielnego ognia straty były w batalionie stosunkowo małe: kilkunastu zabitych i rannych. Nastrój jednak znacznie się pogorszył. Duch nieco się podniósł na wiadomość o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez W. Brytanię i Francję oraz na skutek pogłoski, jakoby armia gen. Bortnowskiego wkroczyła do Prus Wschodnich i zdobyła Kwidzyń.

Poranek dnia 3 był podobny do poprzedniego. Ciszę poranną, jak i w dniu poprzednim, przerwały odgłosy idące z góry.

Nie było to jednak wolne ptactwo lecące na południe. Szły ciężkie, ciemne maszyny, ze znakiem, który już tyle razy z tego samego kierunku wkraczał do Polski. Na skrzydłach maszyn były czarne, zniekształcone krzyże: symbol mordu, pożogi, gwałtu i nieszczęścia. Leciały w kierunku Warszawy, w sztywnych formacjach i z głuchym rytmicznym warkotem, tak charakterystycznym dla niemieckich samolotów. Potem ogień . . . Był to najstraszliwszy dzień dla nas. Niemcy, rozwścieczeni naszym uporem, posyłali jeden huragan ognia za drugim. W południe przyleciały nurkowce. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem ten nowy rodzaj lotnictwa. Po raz pierwszy dowiedziałem się, że tak można bombardować. Niestety, nie ja jeden . . . Niestety, na własnej skórze . . .

Nurkowce ukazywały się od tyłu, nurkowały celując osią samolotu w okopy a następnie waliły w tym kierunku swe bomby, aby po chwili, po wzniesieniu się i krótkim nawrocie, nurkować po raz drugi, trzeci, czwarty i piąty. Lotnicy niemieccy bezkarnie latali wzdłuż okopów, nad lasami oraz nad Mławą; wypatrywali, czy są tam ludzie, sprzęt i konie, a następnie zupełnie bezkarnie rzucali bomby, tam gdzie chcieli. Było to jakieś znęcanie się, a nie wojna; jakieś jednostronne wybijanie jednych przez drugich. Jakiż był tego efekt? Po nalocie dowiedziałem się, że lekarz batalionu — ppor. dr F — który dotychczas pracował z najwyższym poświęceniem, dostał pomieszania zmysłów i jest w stanie obłąkania; po kilku minutach przyszła hiobowa wieść, że cały tabor batalionu został zniszczony i że nieomal wszystkie konie zostały wybite; dowódca baterii dostał analogiczną wiadomość odnośnie koni swej baterii. W II batalionie połowa dowódców komp. była zabita. Z Mławy przyszła wiadomość, że rejon, gdzie się znajdowało dowództwo pułku nie istnieje i wszystko jest tam w gruzach. Straty jednak w pierwszej linii znów były raczej małe, jeżeli wziąć pod uwagę ogrom wysiłku ogniowego Niemców. W naszym batalionie była jednak strata nie do powetowania, zginął bowiem ppor. rez Obrębowski, artysta malarz z „cywila" i to nadzwyczaj utalentowowany malarz, a równocześnie doskonały oficer.

Poza tym wiele betonowych schronów, które doskonale wytrzymywały ogień artylerii, uległo zniszczeniu. Sposób, w jaki były niszczone te schrony, też poniekąd był dla nas zaskoczeniem. Otóż, o ile wybuch bomby lotniczej następował w pobliżu, schrony ulegały wzruszeniu, w zależności od pozycji danego schronu w stosunku do podmuchu. Czasami schron z jednej strony został nieco wyrwany z ziemi, wtedy strzelnice były już skierowane w niebo. Jeżeli zaś schron ulegał wzruszeniu w bok, to strzelnica przybierała kierunek strzału nie na przed pole, lecz wzdłuż własnych okopów. Takich wypadków na naszym odcinku było kilka. Rzecz jasna, że oprócz spaczenia położenia schronu, cała obsługa na skutek podmuchu, który dostawał się przez strzelnicę do wnętrza schronu, ulegała kontuzji.

O spustoszeniu moralnym, jaki uczynił taki nalot, lepiej nie wspominać. Jeszcze gorsze wrażenie zrobiło jednak kompletne milczenie własnej artylerii. Brak amunicji zarysował się w katastrofalnych rozmiarach. Tym razem Niemcy nie czekali zmroku. Natarcie ich rozpoczęło się po południu. Nieprzyjaciel szedł drobnymi grupkami, bardzo powoli, zatrzymując się, aby walić w nas z działek małokalibrowych i broni maszynowej.

Tym razem straty jego były minimalne, albo żadne. Bowiem po stronie polskiej wszystko było przygwożdżone ogniem i tuliło się do przednich ścian okopów. Dysproporcja w natężeniu ognia obu stron była już po prostu potworna.

Pozycje polskie były bardzo zniszczone. Obrona ich stawała się coraz trudniejsza. Niemniej raz jeszcze, gdy oddziały szturmowe Niemców zaczęły usiłować przedrzeć się wewnątrz polskich stanowisk, poszczerbiona zapora broni maszynowej z pozostałych schronów zrobiła swoje. Trzecie natarcie Niemców załamało się.

Zaledwie w kilku miejscach i tam gdzie zniszczenia były największe, Niemcy wleźli w przedni skraj pozycji głównego oporu, lecz dalej nie mogli się posunąć. Tych miejsc, jak się później dowiedziałem, na odcinku całej dywizji liczącym około 16 km było pięć czy sześć. Jedno z takich miejsc było na styku między naszym batalionem, a 78 p. p. Drugie—na odcinku naszego pułku, między II a III batalionem. Gdyby w dyspozycji dowódców batalionów były jakiekolwiek odwody, z łatwością można by było te enklawy nieprzyjaciela zlikwidować. Niestety, wszystkie pułki były wyciągnięte w jedną linię, a wszystkie bataliony miały w I rzucie wszystkie swoje kompanie. Odwód dywizji w postaci jednego batalionu 79 p. p. był zużyty w ten sposób, że poszczególnymi kompaniami, a nawet plutonami łatano dziury w drugim i trzecim dniu bitwy na odcinku całej dywizji. Dywizja przecież była jednostką osłonową i jej zadaniem było utrzymać się na nakazanych stanowiskach w ciągu dni 1, 2 i 3 września. Dywizja więc swoje zadanie wykonała bez zarzutu. Pod wieczór 3 września otrzymałem od dcy pułku wiadomość, że jutro tj. w dniu 4 września jakieś wielkie jednostki polskie razem z sąsiednią prawoskrzydłową 8 dyw. piech. przejdą do przeciwnatarcia przez odcinek tej dywizji, z zadaniem rolowania niemieckiego natarcia od strony wschodniej mniej więcej po osi przebiegu linii granicznej.

Uradowałem się tym niezmiernie. We wszyskich batalionach poczyniono pewne kroki celem przejścia do natarcia w chwili, gdy nieprzyjaciel zacznie odczuwać tamto działanie.

Niestety, nieco później przyszła hiobowa wiadomość, że 8 dyw. piech. jest rozbita i nieprzyjaciel wlewa się w powstałą lukę i kieruje się na Ciechanów, a więc na nasze głębokie tyły.

Po upływie godziny lub dwóch przyszedł z dowództwa pułku rozkaz przygotowania się do oderwania się od nieprzyjaciela.

Poczyniłem znów wszystkie niezbędne przygotowania, które tym razem były biegunowym przeciwieństwem poprzednich przygotowań w kierunku realizacji natarcia, a nawet... pościgu.

Najgorzej było z amunicją... To, co poprzednio zostało podciągnięte na czołowe stanowiska, trzeba było gwałtownie wynosić w tył. Załadować jednak amunicji nie było na co. Koni w batalionie nie było. Nie było już taboru. Masy amunicji trzeba było porozdzielać między strzelcami, co ich obciążyło bardzo poważnie. Niebawem dowiedziałem się, że nawet i kuchnie trzeba będzie zostawić. Oficer taborowy z trudem zebrał kilkanaście koni do dyspozycji dcy kompanii km.

Obraz przyszłego odwrotu zarysowywał się smutnie.

A jednak nie przeciwnik, lecz my postawiliśmy kropkę nad „i" w bitwie pod Mławą.

Na przedpolu naszego batalionu od strony wsi Bałuty, w kierunku południowym ciągnął się wąski, lecz długi, wysokopienny, sosnowy las z gęstym podszyciem. Tak niedawno jeszcze chodziłem do tego lasu i zbierałem grzyby i maliny. Lasu tego nie zniszczono z braku czasu. Korzystając z niego Niemcy niejednokrotnie dochodzili do czołowych stanowisk naszego batalionu, lecz na bardzo wąskim odcinku, bowiem na prawo i na lewo od lasu ciągnęły się pola. Rzeźba terenu, na którym stał ten las, także sprzyjała Niemcom, skutkiem czego na wschodniej i zachodniej jego lizjerze były ustawione ich broń maszynowa i artyleria małokalibrowa, które wspierały ogniem flankowym wszystkie natarcia piechoty i w ogóle dawały się nam we znaki. Np jeszcze w pierwszym dniu bitwy, obsługa jednego schronu, w którym były dwa ckmy, strzelnica którego była ustawiona wadliwie tzn. nie flankowała przedpola, została zniszczona prostym, celnym strzałem. Pocisk bowiem trafił w samą szparę, eksplodował wewnątrz schronu i zrobił tam miazgę.

Otóż w tym lesie nagromadziło się dużo oddziałów niemieckich. Nieprzyjaciel czynił jakieś gorączkowe przygotowania. Słychać było jak rąbano drzewa, jak coś piłowano. Słychać było turkot maszyn i skrzyp gąsienic...

Od dowódcy II batalionu, który mógł obserwować północny kraj tego lasu, nadchodziły wciąż wiadomości o nowych oddziałach Niemców, które z Prus Wschodnich przez Bałuty, kierują się do tego lasu. Jasne było, że z tego lasu niebawem wyjdzie nowe uderzenie.

Zacząłem prosić dowódcę artylerii dywizyjnej, aby położył na ten las ogień. Początkowo sprzeciwiał się temu motywując to brakiem amunicji, lecz gdy przedstawiłem mu grozę sytuacji, a mianowicie, że w chwili naszego odejścia może wyruszyć natarcie, które z miejsca przeistoczy się w pościg, wyraził zgodę.

W kilka minut potem cztery ciężkie pociski rąbnęły w las, który zajęczał. Ledwo echo eksplozji odskoczyło od lasów mławskich, nowe cztery eksplozje wstrząsnęły ciszą nocy. Przez gąszcz drzew i krzewów błysnął czerwony ogień. Kilka dużych sosen ze skrzypem, czepiając konarami o gałęzie innych drzew, pochyliło się ku ziemi. W lesie zakotłowało się. Do naszych stanowisk dolatywały krzyki, nawoływania i odgłosy rozkazów. Wtem cała nawałnica ognia polskiego zwaliła się na las. Rozpoczęło się istne piekło. W kilku miejscach las począł się palić, a w świetle ognia można było widzieć, jak z niego wybiegają ludzie, osiodłane konie bez jeźdźców oraz konie wlokące za sobą puste biedki. Niemcy w panice rozbiegali się na wszystkie strony. Po naszej stronie, zza lasów, raz po raz strzelające haterie oświetlały niebo czerwonymi błyskawicami. Niebawem w w ten sam las zaczęła strzelać i nasza lekka artyleria. Niemcy natychmiast otworzyli ogień, jednak działanie jego było słabe. Widać było, że cała amunicja ich została wystrzelana, a nowej jeszcze nie podwieziono. Ogień Niemców był nerwowy i jakiś niepewny. Nie było w nim systematycznej premedytacji, jak za dnia. Nasze ckmy samorzutnie otworzyły ogień po rozbiegających się Niemcach.

Wtem przyszedł rozkaz: „odchodzić"...

Artyleria nasza zamilkła. Znów nastąpiła cisza, przerywana niekiedy

(Ciąg dalszy na str. 8)

Tędy przechodził żołnierz polski

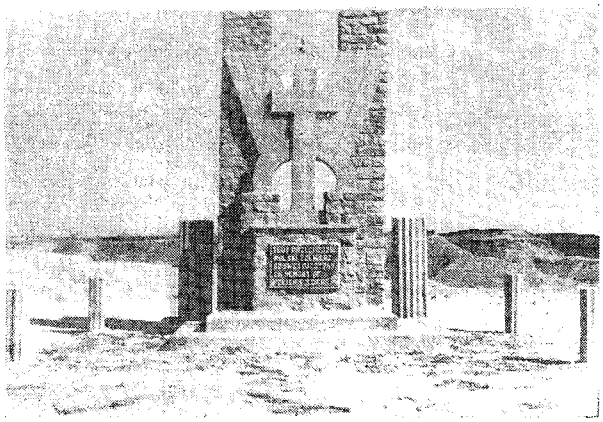

NARWIK · MONTBARD · TOBRUK · GHAZALA · BARDIA · TEHERAN · PAHLEWI · JANGI-JUL · BUZULUK

Jeden z polskich pułków kawalerii pancernej przez dłuższy czas kwaterował na terenie pól naftowych w Persji. W czasie tego pobytu zadzierżgnęły się serdeczne więzy przyjaźni pomiędzy wojskiem naszym a brytyjskimi władzami rafinerii oraz ludnością miejscową. Wkrótce jednakże miłe stosunki towarzyskie przerwać miała rozłąka. Oddział nasz bowiem otrzymał rozkaz zmiany m. p. Żal było nam szczerze rozstawać się. Jeden z zaprzyjaźnionych Anglików wyraził się niegdyś, że istnieje jakiś dziwny magnetyzm serca polskiego, iż z Polakami każdy zżywa się na śmierć i życie. To też nic dziwnego, że pragnąc uczuciom tym nadać realny wyraz naradzano się wspólnie, jak przed odjazdem naszego oddziału upamiętnić nasz pobyt tutaj, współżycie i zawartą przyjaźń. Wreszcie postanowiono zbudować na skalnym zrębie ołtarz-pomnik. Dowódca dywizji, dowódca pułku, oficerowie, żołnierze, miejscowe władze oraz cywilna ludność dołożyli wszelkich starań, by urzeczywistnić ten projekt. I pomnik stanął. Poświęcenie ołtarza-pomnika dokonane w przeddzień wyjazdu oddziału zamieniło się w gorącą manifestację sympatii Anglików i tuziemców pod adresem wojska polskiego i Polaków. Zgromadzona ludność całej parafii upiększyła ołtarz kwiatami i osypała nimi ostatni raz maszerujący tutaj w defiladzie zbrojny oddział kawalerii polskiej.

BITWA POD MŁAWĄ

Dokończenie

głosami, szalejącego w lesie pożaru. O jakimś natarciu Niemców z tego lasu nie mogło być już mowy.

Tak się zakończyła bitwa pod Mławą na odcinku III batalionu 80 pułku piechoty. Nim wszystko zostało wyniesione, zebrane i uporządkowane oraz nim batalion zebrał się w lesie, a następnie pomaszerował w kierunku Mławy, blady przedświt zaczął szarzeć nad smutną okolicą. Lasy mławskie w ponurej ciszy żegnały żołnierzy polskich.

Idąc szosą w kierunku Mławy widziałem, jak na lewo ode mnie z tych lasów wychodził II batalion. Na skraju miasta dowódca pułku, płk. F., osobiście dał mi rozkaz: Trzymać północny skraj miasta do godz. 5, po czym z batalionem, jako strażą tylną pułku, odchodzić w kierunku lasów opinogórskich. Rozkaz ten wykonałem. Do tej godziny najmniejszy nawet oddział nieprzyjaciela nie ukazał się od strony opuszczonych przez nas lasów mławskich. Gdy jednak przeszedłem około 10 km w nakazanym kierunku, od strony, gdzie przypuszczałem, że znajdują się nasze siły główne, otrzymałem silny ogień niemieckiej broni maszynowej. Równocześnie samoloty rozpoznawcze nieprzyjaciela ukazały się na niebie. Skręciłem w prawo i naprzełaj, lasami, bagnami, o głodzie i bez łączności ze swoimi rozpocząłem przedzieranie się na Glinojec, Płońsk i Modlin. Decyzję powziąłem na skutek wiadomości, że i lasy opinogórskie i Ciechanów są już zajęte przez Niemców, którzy przeszli przez odcinek 8 dyw. piech.

Sama akcja osłonowa i opóźniająca 20 dyw., niezależnie od tego co się stało na jej bokach, została przeprowadzona bez zarzutu. Dywizja zadanie swoje wykonała.

Obecnie w świetle trzech minionych lat wojny całą kampanię wrześniową możemy uważać za akcję opóźniającą, przeprowadzoną bez żadnej pomocy z zewnątrz, która dała olbrzymi wkład w obecną wojnę.

Granicę z napisami „Versailles, 19. VI. 1919", której tak ofiarnie broniliśmy, musimy przesunąć dalej, daleko na zachód...

Arnold Jaskłowski

OFIARY

Liczna grupa Junaków przejeżdżając z Persji na Środkowy Wschód złożyła na rzecz dzieci polskich w ZSRR 80 din. i 940 fls. oraz na rzecz pomocy naszym jeńcom wojennym 93 din. 520 fls.

Jeden z oddziałów artylerii złożył na rzecz pomocy jeńcom wojennym sumę 145 din. 792 fls.

Ks. kap. N. N. 8 din.

Ppor. S. S. z okazji swych imienin składa na pomoc dla sierot polskich w Iranie 7 din. oraz na paczki dla jeńców wojennych w Niemczech 3 din.

Sierż. Ostaszewski Stanisław na paczkę dla jeńców wojennych 1 din. 500 fls.

PAMIĘTAJ O DZIECIACH POLSKICH W Z.S.R.R.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ppor. Miecz. P-ski. List Pański z dn. 24. IV. otrzymaliśmy wraz z karteczką „W niniejszym liście pieniędzy nie było. Cenzor". Jeżeli więc nie zapomniał Pan ich włożyć, prosimy reklamować na poczcie. Spisów jeńców redakcja nie posiada, natomiast częściowe spisy posiada Polski Czerwony Krzyż w Bagdadzie — Waziriyah.

St. wachm. J. Ch. Dziękujemy za interesujące uwagi, skorzystamy z nich częściowo.

Kanonier Zbigniew Dł-ski. W sprawie, o którą Pan zapytuje, należy złożyć podanie do Dowódcy Armii załączając potrzebne informacje. Bieżący rok szkolny właśnie się kończy.

Kan. Stanisław K. Dziękujemy za list i przesłane wiersze. Ten pierwszy, banalnie-patetyczny nie pasuje do stylu Pańskich listów, trochę barokowych, ale nie banalnych. „Nalot" nieco lepszy, ale także mało daje. Cenzor miał słuszność. Prosimy nadal o pamięć.

Henryk W. O-ski. Dziękujemy za przesłany wiersz. Forma poprawna, ale trochę za łatwa i mało oryginalna, stąd po przeczytaniu niewiele zostaje. Takie np. wyrażenie „z granitu lub drzewa" nie jest szczęśliwe, bo granit jest twardszy od drzewa, więc porównanie słabsze po mocniejszym osłabia wrażenie. Może przyszle nam Pan inną próbę?

Kan. Jan D-cz. Dziękujemy serdecznie za list i utwory. Bardzo kłopotliwe pytanie nam Pan zadał: co zrobić, żeby utrafić do gustu redakcji? W zakresie wierszy recepta składałaby się z dwóch części: pisać poprawnie i mieć talent. Tego ostatniego autor „Odpowiedzi redakcji" także nie ma, więc nie może się nim podzielić. Artykuł czy reportaż prozą może być dobry i bez szczególnego talentu literackiego, o ile autor pisze wtedy, kiedy ma coś ciekawego do powiedzenia i zdaje sobie dobrze sprawę z tego co chce powiedzieć. Przepraszamy za niedość jasne wyrażenie naszej poprzedniej odpowiedzi: chodziło nam o to, że zbyt często powtarzane, zrozumiałe same przez się nakazy moralne, gdy są podawane bezpośrednio, często są odrzucane jako banały. Natomiast w sprawach bardziej złożonych, trudniejszych oczywiście prostota i jasność ujęcia będą zaletą.

Artykuł „W imię prawdy" postaramy się częściowo wyzyskać. Wiersz nie jest poprawny. Taki jeden dwuwiersz:

„Coś niepokoi i mi się wydaje
Że to słyszałem jęk męczonych ludzi"

wystarczy do położenia każdej poezji. Przepraszamy za szczerość, ale czujemy się do niej obowiązani.

Ppor. Iz. K. Dziękujemy za wiersz o szlachetnej intencji, którego forma niezupełnie nam odpowiada.

Plut. Józef M-a. Dziękujemy za przesłany artykuł, z którego wszakże nie skorzystamy.

Emes. Dziękujemy za opowiadanie. Przeczytaliśmy z ciekawością, ale mamy wątpliwości, czy to się da przystosować do druku.

S Leg. Dziękujemy za artykuł sprawozdawczy, który jednak dla ogółu czytelników „Orła" wydaje się zbyt suchy.

Dr Walerian T-cz. Dziękujemy za artykuł — temat niezmiernie ważny i aktualny, ale zdaje nam się, że w takim ujęciu to nie odniosłoby właściwego skutku.

Z FRONTU PODZIEMNEGO

WIEŚCI Z POLSKI

ROZKAZ KOMENDANTA SIŁ ZBROJNYCH W KRAJU

Poniżej zamieszczamy rozkaz wydany przez Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju do krajowej armii polskiej w związku z akcją przeprowadzoną na ziemiach wschodnich.

„Nr 84 dnia 8 lutego 1943 roku.

W okresie nasilenia bezpośrednich akcji sił zbrojnych w Kraju przeciwko okupantowi wykonano również kilka śmiałych napadów celem odbicia naszych żołnierzy z rąk niemieckich.

Miały one miejsce w szeregu punktów Kraju i sprowadzały się przeważnie do napadów na więzienia lub konwoje niemieckie prowadzące aresztowanych. Na specjalne wyróżnienie zasługuje ostatnia podobna akcja zbrojna. Z wnętrza Kraju wyruszył na dalekie kresy oddział złożony z żołnierzy i ochotników, pokonał olbrzymie trudności techniczne, w brawurowym napadzie opanował więzienie kładąc trupem kilku Niemców i odbił kilku więzionych tam naszych żołnierzy oraz wypuścił na wolność kilkudziesięciu więźniów politycznych, sam nie ponosząc strat ani w ludziach ani w uzbrojeniu. Akcja udała się dzięki odpowiedniemu, precyzyjnemu przygotowaniu oraz odwadze wszystkich uczestników przy całkowitym zachowaniu zimnej krwi i przytomności umysłu podczas i po napadzie.

Powyższa akcja stanowi piękny przykład czynu zbrojnego Sił Zbrojnych w Kraju, w ramach toczonej obecnie przez nas walki konspiracyjnej. Obok licznych innych udanych działań bojowych świadczy o mocy ducha, odwadze oraz sprawności dowódczej i bojowej naszych szeregów.

Uczestników tej akcji zbrojnej wyróżniłem: mianując dwóch podporucznikami czasu wojny, nadając dwóm Virtuti Militari V klasy, szeregowi najdzielniejszych — Krzyże Walecznych, reszcie udzielając pochwały.

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju
(—) Grot.

KRASNOBRÓD

Podajemy za tajną prasą polską wychodzącą w Kraju (Biuletyn Informacyjny nr 9 (164) z dn. 4 marca 1943 r.) następujące informacje o starciu zbrojnym pomiędzy Niemcami i oddziałami polskich Sił Zbrojnych w Kraju, które miało miejsce w pierwszej połowie lutego r. b. pod Krasnobrodem:

„Podnosiliśmy wielokrotnie z uznaniem fakty samoobrony wśród wysiedlanej przez okupanta ludności powiatu zamojskiego. Widząc nieuchronną zagładę swego gospodarstwa, liczni chłopi wybijali żywy inwentarz, ładowali dobytek na wozy, podpalali zagrody i uciekali. Większa ilość uciekinierów szukała schronienia w lasach ordynacji Zamoyskich na południowy zachód od Krasnobrodu. Wiedząc o skupieniu uciekinierów w tym rejonie i o operujących tam kilku mniejszych naszych oddziałach partyzanckich, otoczyli Niemcy 4 lutego lasy ordynackie chcąc zlikwidować ten polski punkt oporu. W akcji wzięły udział znaczne oddziały regularnego wojska, a także policja niemiecka, oddziały Łotyszów, Ukraińców i Rosjan. Obława natrafiła na zdecydowany opór otoczonych. Drugiego dnia po rozpoczęciu akcji uderzył na Niemców znienacka z zewnątrz większy oddział naszych Sił Zbrojnych, przełamując pierścień i otwierając drogę otoczonym.

Krwawe walki trwały do 12 lutego. Straty niemieckie znaczne, na razie jeszcze nie ustalone. Oswobodzenie uciekinierów, pomyślny przebieg akcji i poważne straty niemieckie — oto bilans walki pod Krasnobrodem."

WYSIEDLENIA W ZAMOJSZCZYŹNIE I HRUBIESZOWSKIM

Warszawa, dn. 18. III. 43. Według nowych obliczeń wysiedlenia objęły dotychczas w obu powiatach ok. 100 wsi i kolonii. Ruszono przy tym z miejsca ok. 70.000 ludzi. Z liczby tej zaledwie ok. 10.000 przeszło przez obóz etapowy w Zamościu, reszta została bądź wywieziona bezpośrednio na roboty do Rzeszy, bądź (w większości) zbiegła do innych powiatów i do lasów. Wysiedlenia z pewnymi przerwami trwają. Obejmują one wyłącznie gospodarstwa chłopskie. Folwarki nie są ruszane, służba folwarczna pozostaje na miejscu. Wśród nowo osiedlonych volksdeutschów i przesiedlonych Ukraińców panuje nastrój niepokoju i lęku, wywołany niszczeniem zagród i wsi, zarówno przez zorganizowane oddziały polskie jak i samorzutnie przez wysiedlonych Polaków. Część przesiedlonych Ukraińców opuściła przydzielone im gospodarstwa i wróciła do siebie. Niektórzy koloniści usiłują ściągnąć z lasów dawnych gospodarzy Polaków na wspólne mieszkanie i pracę, by tym sposobem zabezpieczyć się.

Terror niemiecki wzamian za podpalanie zagród i wsi oraz za tępienie kolonistów doprowadził do kilku wielkich egzekucji masowych, obejmujących kilkaset pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci w szeregu wsi.

Los wysiedlanych przedstawia się fatalnie. Interwencja Rady Głównej Opiekuńczej pozostaje niemal z reguły bez skutku. Kuchnie ludowe RGO nie funkcjonują. Stan zdrowotny obozu etapowgeo w Zamościu — okropny. Kierownik tego obozu, SS-Hauptsturmführer Hütte jest jedną z najdzikszych kanalii.

MAJDANEK

W nr 11 z dn 18.III r. b. tajnego pisma polskiego wychodzącego w Warszawie p. t. „Biuletyn Informacyjny" znajdujemy następujące wiadomości o sytuacji w obozie koncentracyjnym w Majdanku:

„Liczbę więźniów w Majdanku w końcu lutego oceniano na 12—15 tysięcy. Ponad połowę więźniów stanowią Żydzi. Więźniowie są rozmieszczeni w barakach zgrupowanych na pięciu „polach". Pole pierwsze — reprezentacyjne — mieści Żydów zza granicy i z Warszawy — nieźle odżywianych, robiących interesy z SS-manami. Pole drugie — to Polacy i Żydzi przeznaczeni na wytępienie; znaczna większość — to Żydzi, wycieńczenie ludzi ogromne. Pole trzecie — to więźniowie z Pawiaka, głównie polityczni; 5 baraków po 250 ludzi; służbę „capo" i „forarbeitów" pełnią warszawscy Żydzi. Pole czwarte — to złapani na ulicy; warunki snu — bardzo złe. Chodzą we własnych ubraniach, śpią w tychże ubraniach. Zwalniani na interwencję firm. Od miesiąca zwalnia się po kilkuset tudzi z tej kategorii. Pole piąte — to kobiety, polityczne i z łapanek.

Straż obozu pełnią Niemcy i Ukraińcy. Baraki drewniane, spanie na siennikach, do przykrycia jeden koc, izby nie opalane. Nie ma warunków do mycia się codziennego, natomiast co tydzień odbywa się kąpiel. Robactwo (wszy, pluskwy) straszne. Praca — tylko wewnątrz obozu. Żywność — 300 gr chleba dziennie, do tego trochę marmelady lub tp. Na obiad — pół litra zupy. Ostatnio pozwolono na przesyłanie za pośrednictwem lubelskiego PCK indywidualnych paczek żywnościowych. Warto zaznaczyć, że przesyłki i listy adresować należy na Majdanek, pisząc: Kriegsgefangenenlager, gdyż więźniowie Majdanka uważani są za jeńców broni SS.

PODZIEMNA PRASA POLSKA W OŚWIETLENIU DZIENNIKA SZWAJCARSKIEGO *)

Prasa podziemna w Polsce okupowanej osiągnęła bardzo wysoki stopień rozwoju. Pierwsze tajne czasopisma zaczęły ukazywać się już w październiku 1939 r. Były to jeszcze bardzo prymitywne ulotki, pisane na maszynie i powielane w sposób prymitywny. Jednak już oddawna najpoważniejsze czasopisma polskie są drukowane, często zaś nawet i ilustrowane. Druk jest dobry, czysty.

Tajna prasa polska składa się przeważnie z tygodników; wychodzą również i miesięczniki. Zamiast pism codziennych wychodzą, nieraz i dwa razy dziennie, „komunikaty o zdarzeniach codziennych", zawierające wyłącznie wiadomości bieżące. W ważniejszych momentach politycznych ukazują się one do czterech razy dziennie.

Ogólna liczba tajnych gazet i czasopism polskich waha się między 250 a 300. Większość z nich nie ukazuje się jednak regularnie, a to z powodu braku środków finansowych i nieustannej naganki ze strony Gestapo. Mimo to istnieje obecnie w Polsce 70—80 tajnych czasopism ukazujących się z podziwu godną regularnością.

Przeciętny nakład sięga kilku tysięcy egzemplarzy, czasem wynosi on nawet i kilkanaście tysięcy. Cyfry te mogą wydać się na pierwszy rzut oka skromne; wypada jednak wziąć pod uwagę, iż wszystko to odbywa się pod nieustanną groźbą śmierci, że prócz tego trzeba pokonywać olbrzymie trudności techniczne, poczynając do zaopatrywania się w papier, części zapasowe do maszyn itp. a kończąc na połączonym z niesłychanym ryzykiem kolportażu. Członkowie redakcji i drukarze prowadzą życie wiecznie tropionych zwierząt. Tajna prasa nie posiada żadnych stałych źródeł dochodu, cierpi przeto na chroniczny brak środków. Sprzedaż uliczna i posługiwanie się pocztą nie wchodzą w ogóle w rachubę.

Łatwo sobie wystawić, jak wielkie trudności finansowe przezwyciężać musi tajna prasa polska. W jednym z pism czytamy: „Nie zapominaj, iż prasa nasza zdana jest wyłącznie na dobrowolne ofiary". W innym na ostatniej stronicy znajdujemy listę ofiarodawców: „od mściciela", „od niecierpliwego", „od upartego" itp. Niektórzy ofiarodawcy przeznaczają swe datki na jakiś specjalny cel lub mają na względzie uczczenie czyjejś pamięci. Czytamy np.: „Ku czci mej siostry Janiny, padłej na posterunku". Zdarzają się i ofiary w naturze, jak np. 40 arkuszy papieru egipskiego, atrament, ołówki, gumy itp., wśród nich niektóre wprost wzruszające: 2 chleby, 4 jaja, 350 gr kiełbasy, 160 gr masła, 15 kotletów, 20 papierosów, lub: 40 zł „na kolacje dla redaktorów i drukarzy", „zamiast moich kolacji", „zamiast cześtwo pamięta o swej prasie.

Wszystkim współpracownikom tajnego pisma, niezależnie od rodzajn pracy, grozi nieustannie śmierć. Wymowną ilustracją tego straszliwego ryzyka jest suche sprawozdanie, zamieszczone w tajnym piśmie „Głos Polski": „Dnia 4 lipca Gestapo otoczyło willę w... Wykryto tu drukarnię przeniesioną niedawno z Mokotowa, gdzie sytuacja była już bardzo niebezpieczna. Nie otrzymawszy na pukanie i dobijanie się żadnej odpowiedzi, oddział SS wrzucił przez okna granaty ręczne i rozpoczął strzelaninę z karabinów maszynowych Dwóch z naszych zabito, dwaj inni zmarli od ran w szpitalu. Właściciela willi Michała Kruka, jego żonę i dwóch synów (w wieku 15—17 lat) rozstrzelano; ten sam los spotkał mieszkańców domów sąsiednich. Ogółem zginęły 83 osoby".

Pomimo nierównych szans walka trwa bez przerwy. O nieugiętym duchu oporu świadczą same nazwy wielu tych tajnych wydawnictw. Cała Polska pokryta została gęstą siecią konspiracji. Wszelkie przeciwdziałanie ze strony niemieckiej trafia niemal w próżnię. Ta walka na śmierć i życie toczy się pod ziemią, pod powierzchnią tzw. normalnego życia. Jeśli też niewiele stosunkowo wiadomo o jej przebiegu, to jedynie dlatego, iż walczący naród nie może dać wytrącić sobie z ręki tej potężnej broni, jaką jest milczenie, zachowanie tajemnicy. Prasa niemiecka natomiast uchyla od czasu do czasu rąbek tajemnicy podając do wiadomości bądź wydane zarządzenia bądź to wyroki śmierci. Nie ulega wątpliwości, iż sabotaż odgrywa obecnie wielką rolę w życiu polskim, to też w miarę możliwości, tajna prasa polska ogłasza komunikaty i z tego „placu boju".

Zresztą tajna prasa w Polsce poświęca stosunkowo niewiele miejsca bieżącym wypadkom dnia, chociażby były one niesłychanie ciężkie dla Kraju. Tragedię teraźniejszości traktuje się jako coś przejściowego, jako zło, z którym należy walczyć czynem, nie słowem. Natomiast wiele miejsca zajmują w prasie podziemnej zagadnienia dotyczące przyszłości.

Charakterystyczną cechą dzisiejszego społeczeństwa polskiego jest niezwykłe pogłębienie duchowe poszczególnych jednostek, ogromny wzrost wartości osobistej. Jest to zupełnie zrozumiałe: walka i opór możliwe są jedynie dzięki godnej postawie każdego obywatela.

Wykazując pełne zrozumienie konieczności nowych form w życiu narodowym, a traktując szczegółowo omawiane zagadnienia współpracy międzynarodowej jako bardzo pilne i istotne, liczą Polacy przede wszystkim na własne swe siły, na moc duchową i tężyznę, zdobyte kosztem nieopisanych cierpień w ogniu walki.

(Biul. Inf.)

*) Wydawana w Zurichu „Die Weltwoche" Nr 486 z dn. 5.III. 43.

JESZCZE O PRÓBIE PRZEKROJU BRYGADY KARPACKIEJ

Redakcja naszego pisma otrzymała kilka listów w sprawie niektórych zwrotów zamieszczonych w artykule ppor. A. Bocheńskiego p. t. „Próba przekroju Brygady Karpackiej", pomieszczonym w nr 13 naszego pisma z dnia 4.IV. b. r. Brak miejsca nie pozwala nam na drukowanie tych listów w całości wobec czego przytaczamy jedynie najważniejsze ustępy listu kan. Ant. Ł. oraz ppor. Tadeusza S.

Porucznik S. pisze: „Chciałbym wyjaśnić, iż armia polska, która powstała w ZSRR i znajduje się obecnie w Iraku, składa się w 40 przynajmniej procentach z żołnierzy, którzy we wrześniu 39 roku byli daleko od Zaleszczyk, nie rozpierzchli się na pierwszą wiadomość o marszu bolszewików, lecz trwali w oddziałach K. O. P. na Wołyniu lub pod Lwowem walcząc tak długo, jak im kazali dowódcy. A inni. Dla 20% droga do wojska prowadziła przez Karpaty i więzienia sowieckie. Co najmniej 10% to ludzie, którzy stanęli w Kraju w czasie upadku ducha do pracy konspiracyjnej i patriotycznej, co było może większym poświęceniem niż pójście za granicę. Reszta, to nasi osadnicy ze stanic kresowych to... urzędnicy państwowi czy funkcjonariusze P.P., którzy zostali uwięzieni za pełnienie obowiązków..... W Rosji znaleźliśmy się tylko dlatego, że byliśmy dobrymi Polakami, a do armii zaprowadził nas patriotyczny obowiązek i związane z nim uczucia... Nie chcemy ryzykować twierdzenia, że w Brygadzie Karpackiej byli ochotnicy, co mieli do wyboru siedzenie w Rumunii lub na Węgrzech i czekanie na „Oflag" lub szukanie szczęścia na Środkowym Wschodzie..."

Kanonier Antoni Ł. pisze: „Prawdziwe oblicze i wartość żołnierza poznajemy w znoszeniu trudów i bojów. Ci z Rosji przebyli może największe trudy zostawiając tam swoje rodziny na poniewierkę i las krzyży— najbliższych. Nie mieli jeszcze możności być w boju poza granicami Ojczyzny.

Z drugiej strony po „amnestii" w Rosji warunki bezpieczeństwa Polaków tam będących nie były wcale gorsze od warunków jakie mieli późniejsi żołnierze Brygady np. w Rumunii w 1942 roku. Wpływy niemieckie były tam zbyt silne, by Polak mógł się czuć dobrze. Można twierdzić, że dla tych ludzi armia polska we Francji czy Syrii była niemniej wybawieniem jak dla Polaków z Rosji. A droga z Rumunii do Syrii była o wiele łatwiejsza, niż z Kałymy, Wierchojańska czy Workuty..."

W związku z tym przypominamy, że zdanie p. A. Bocheńskiego, które wywołało powyższe sprzeciwy, brzmiało jak następuje:

„Brygada Karpacka składała się wyłącznie z ochotników. Jedyną grupą nieochotniczą w Brygadzie byli obywatele polscy zmobilizowani w Palestynie. Byli oni jednak tak nieliczni, że możemy ich w ogóle nie brać pod uwagę. Pod tym względem Brygada różniła się od wszystkich innych jednostek polskich w czasie tej wojny. Armia polska we wrześniu składała się z wojska z poboru. Wojska polskie we Francji składały się w 80 co najmniej procentach z Polonii zmobilizowanej przez władze francuskie. Była i tam oczywiście grupa ochotnicza—Polacy z Belgii, ci którzy zgłosili się do wojska przed ogłoszeniem mobilizacji we Francji i ci, którzy przybyli z Węgier i Rumunii — ale nie przenosiła ona 20% stanu. Obecna Armia Polska na Wschodzie składa się wreszcie z żołnierzy, których zły los zaprowadził do ZSRR i dla których armia była nie tylko obowiązkiem patriotycznym, ale także wybawieniem. By znaleźć jednostkę o takim odsetku ochotników — musimy sięgnąć aż do I Brygady Legionów, z którą Brygada Karpacka niewątpliwie—jak to można sądzić np. z pism Kadena Bandrowskiego—miała pewne psychiczne pokrewieństwo."

Ppor. Bocheński, któremu zakomunikowaliśmy powyższe listy, nadsyła nam ze swej strony następujące uwagi: „Na oblicze pewnego oddziału składa się cały szereg czynników. Jedne działają na jego korzyść, inne na niekorzyść. W artykule o przekroju Brygady Karpackiej zająłem się jednym z czynników kształtujących swoiste oblicze tej jednostki, a mianowicie jej charakterem ochotniczym. Nie wątpię, że wojsko polskie przybyłe z Rosji posiada cały szereg najrozmaitszych zalet, które między innymi wyszczególnili autorzy cytowanych listów. Prawda historyczna nie pozwala jednak na twierdzenie, że zaciąg do wojska polskiego w ZSRR był zaciągiem ochotniczym. Nie ulega wątpliwości, że Polacy w Rosji znaleźli się w pewnej sytuacji przymusowej. O uprzedniej działalności jednostek na terenie Rzeczypospolitej nie mogę sądzić i uważam, iż nie należy to do rzeczy. Celem moim było wykazanie charakteru ochotniczego dawnej SBSK w porównaniu do wszystkich innych polskich formacji wojskowych i zdaje mi się, że udało mi się ten jej charakter wykazać. Jest to prawda historyczna niezależnie od tego, czy się komuś to podoba, czy nie.

Autorzy listów popełniają poważny błąd porównywując stosunki panujące na Węgrzech i w Rumunii ze stosunkami panującymi w ZSRR w jakimkolwiek bądź okresie. Korzystam z okazji aby podkreślić tu gościnność zarówno Węgrów jak i z pewnym zastrzeżeniem Rumunów w stosunku do Polaków.

Jeżeli Szanownych Oponentów sprawa ta interesuje, radzę im zapoznać się z ostatnimi numerami pisma polskiego „Wieści Polskie" wychodzącego do dziś dnia na Węgrzech."

Ze swej strony redakcja zaznacza, że nie jest w stanie dopatrzyć się w artykule p. Bocheńskiego chęci obniżenia wartości czy zasług oddziałów przybyłych z ZSRR. Gdyby było inaczej — artykuł nie mógłby się ukazać. Nie sądzimy jednak, by należało ukrywać tego rodzaju cechę charakterystyczną jak wyłącznie ochotniczy skład pewnej jednostki, dlatego, że ktoś przewrażliwiony może w tym widzieć przeciwstawienie oddziałom pół - ochotniczym. Podobnie przecież, gdy się pisze o cierpieniach tych, którzy przeszli przez więzienia, śledztwa czy obozy pracy, nikt nie może z sensem postawić zarzutu, że się przez to obniża wartość żołnierzy, którzy tego nie przechodzili

Oprócz dwóch głosów omówionych, redakcja otrzymała od p. Jana Rudolfa Fr. list wyjaśniający, że rekrutacja do SBSK na terenie Palestyny miała charakter wyłącznie dobrowolny.

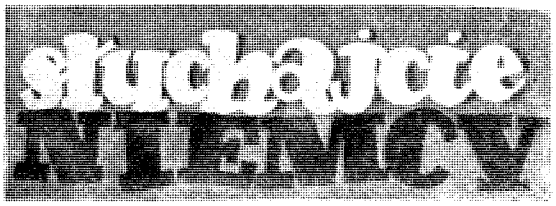

Za Łódź, za Warszawę, za Kutno,
Za kaźnię Gestapo okrutną,
Za miasta, za domy spalone
Za matki, za siostry, za żony,
Za z dymem puszczone wioski,
Za profesorów krakowskich,
Za biedne sieroty bez dachu,
Za tych w Oświęcimiu i w Dachau,
Za dzwony z kościołów nam zdjęte,
Spłacimy dokładnie, z procentem,
Policzym się.

A tymczasem...?

Nasiąka afrykański piasek
Niemiecką krwią coraz obficiej.
A ludność wasza drży o życie
Kiedy bombami nocą zagra
Polska, niosąca śmierć, eskadra.

Pod Stalingradem—trzy miesiące,
By wreszcie: pięć dywizji jeńców,
Pod Kalininem: dwa tysiące,
Pod Rżewem — ponad tysiąc Niemców.
Zza wzgórz, zza lasów białe cienie,
Jak blade duchy w mglisty dzień
Nagłym zacisną się pierścieniem
I „ruki w wierch!" i „dawaj w plien!"

Dla was już wojny nie ma więcej,
W bój nie powiedzie żaden głos,
Z oddziałów zwartych naraz—jeńcy
Jakiż im przyjdzie przyjąć los?
Tysiące mil rozległej drogi,
Bezludnej ziemi wielki szmat—
Powloką nogi, zziębłe nogi
W obcy, nieznany, inny świat.
Długie tygodnie sunie etap,
W milczeniu ciągnie ludzi sznur
Tam, gdzie się białej taśmy meta
Rozwija śnieżnym pasmem gór.
Moczary, bagna, tundry nagie,
Wilgotnych brzóz cmentarna biel
I Ural. I sybirski „łagier"
I kres wędrówki i jej cel.
Major z Berlina tu pospołu
Z bandytą Pietią (obłast Mińsk)
Karczuje las, dobywa ołów,

Tadeusz Witlin

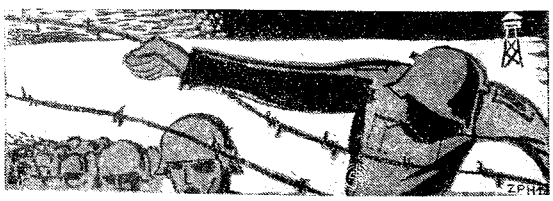

Wydawca: Wydział Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie

Adres Redakcji: Polish Forces Paiforce 58